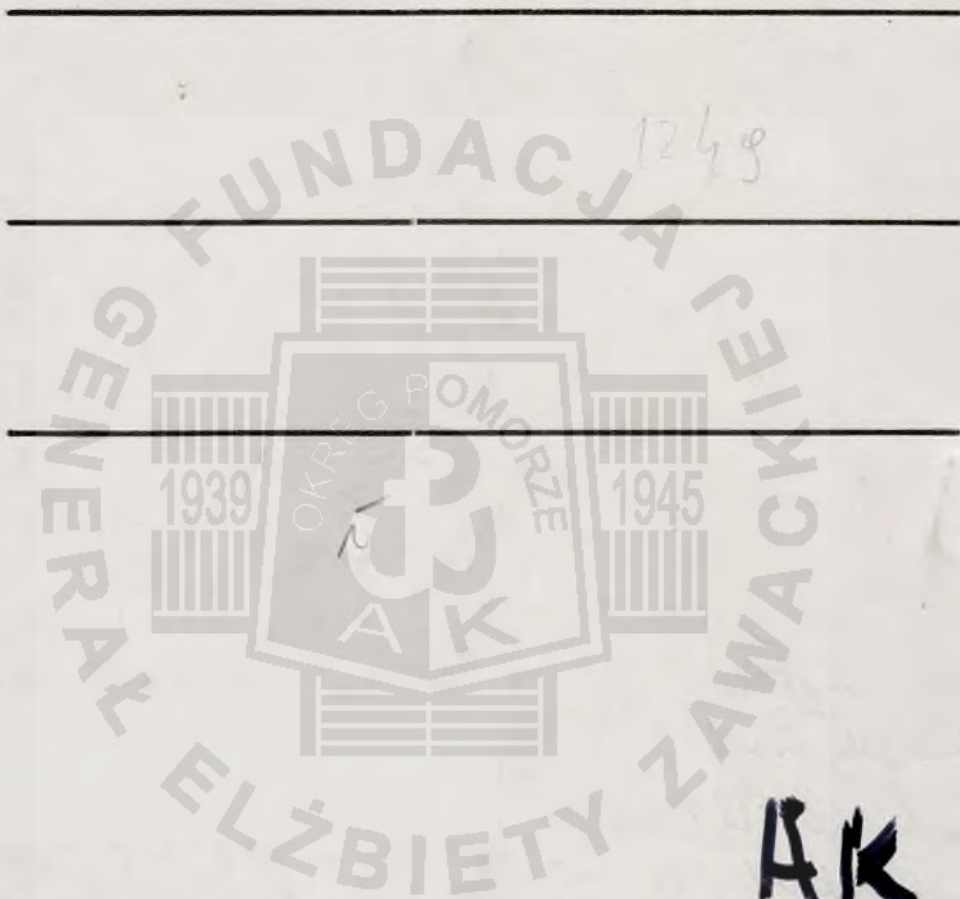


MEMORIAŁ
General Marii Wittek



Wawa

tel

foto. (lesera)

AK
Wotyń

WITKOWSKA SAND Halina

ps. Karo

siostry:
++ Witkowska Barbara
"Spokojna"
++ Witkowska ~~Barbara~~
"Albentia" Wiestawa

1249/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — WITKOWSKA-SAND Halina
ps. „Kewo”

T. 1249/wsk

I/1. Relacja ✓ k. 12, s. 1-13

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 68, s. 1-69

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora ✓ k. 2, s. 1-2

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓

VI. Fotografie ✓ ksero

I₁ Relacja

- odpis relacji H. Witkowskiej - Sand, sporządzony przez J. Marciniak, Warszawa 1998, rkps (oryg.), k. 1, s. 1-2
- Relacje WSK, mps (oryg.) k. 2, s. 3-4
- Deklaracja, mps (oryg.), k. 1, s. 5
- Biogram H. Witkowskiej - Sand, mps, k. 8, s. 6-13



Relacja Wojennej Służby Kobiet w latach 1939-1945 r

I. Dane osobowe: Witkowska - Sand Halina

urodzenia: 6.01.1916 Moskwa

rodzice: Orestaw i Lucyna z d. Hornowska

adres: 00 272 W-ka,

II. Dane środowiskowe: Wykształcenie: średnie gimn. Koperwita we Włodzimierze Wołyńskim +
2 lata pracy na U.W-ski im. J. Piłsudskiego.

Specyfna praca w Białymstoku - dział samopomocy i ZHP w drużynie gimn. Kupieckiej w W-wie
Przynależność ZHP.

III. Udział w Kampanii Września 1939 r.: Pogotowie Harcererek w ramach drużyny starszo-har-
cerskiej we Włodzimierze Wołyńskim - pomoc w rekwirowaniu Polaków, rodzin z W-icy
we Włodzimierze, służba cywilna, obserwacja i wywiad.

IV. Krótki życiorys cywilny: z całej rodziny - 2 siostry, brat mierzwiław z rodzicami do 1944 r
we Włodzimierze Wołyńskim. Pracowała w magazynie Służby Wojskowej pod Włodzimierzem
jako robotnica, potem krawcową, żeby uniknąć wydezerowania na roboty do Niemiec,
następnie była telefonistką na poczcie a potem w Straży Pożarnej we Włodzimierze.

V. Krótki przebieg konspiracyjnej służby żołnierskiej 1939-1945 r.: Patriotycznie postawę kształtował
dom rodzinny i harcerstwo. Powstał mnie Janek Kubalski mgr Apteki we Włodzimierze
na początku 1942 r do ZWZ-HK. Wcześniej wzięto moje starsze rodzeństwo Wiesława
i Jaremi, potem Barbara. Później składaliśmy mgr Janowi Kubalskiemu - pseudonimu
mi pamiątka. Mój pseudonim „Karo”, byłam łączniczką po Włodzimierze - mieście,
Potem byłam łączniczką między oddziałem leśnym - nosiłam -woziłam broń,
meldunki up z koszar wojskowych do J. Kubalskiego i do różnych innych
punktów kontaktowych w mieście, np. też do ks. Kobyleckiego. Prześladowania
gestapo nasilały się musiałam wyjechać z regionu we wrześniu w 1944 r z Włodzimierzem
do Lublina. Ponieważ miałam rodzinę w W-wie służbisto zostałam miażdżona na
kurierkę AK na trasie Warszawa - Lublin. Do W-icy przyjechał również mój dorośca
J. Kubalski i do końca był moim doroścą. W Warszawie odbyłam przeszkolenie kurierek.
W Warszawie miałam 2 bkle kontaktowe - Warszawa Praga i na ul. Skorupki otrzymywałam
polecenia - rozkazy dostarczałam do Apteki we Włodzimierze, gdzie pracowała i konspiracyjnie
moja siostra Bania „Spokojna”. Druga siostra Wiesława „Alberta” pracowała przy aptece,
przed aresztowaniem wzięta do partyzanckiego oddziału „Wieluży” koło Bielina.
Ojciec mój pracował w wywiadzie AK. Ze Sowieckim stajany był pod „ścianką” przesłuchany
razem z matką krzyżem i 2-ma innymi, ale ojciec został uwolniony.

We wrześniu 1944 r w Lublinie na ul. Warbutta był kocioł. Zostałam aresztowana i osadzo-
na na Ławku w Lublinie. Razem ze mną aresztowana była łączniczka z Warszawy
Hanka Rajpold z Piotrkowa Trybunalskiego, siedziałam w więzieniu do XII. 1944 r

W dniu 9.V.1945r w dniu zakończenia wojny w Warszawie U.B aresztowało mnie i w więzieniu na Rakowieckiej siedziałam do amnestii tj. 10.VI.1945r.
Odmuszczenie: Prace Książki Zasługi z Miernotki 1965 "Luboc" Kazimierz Babinski.

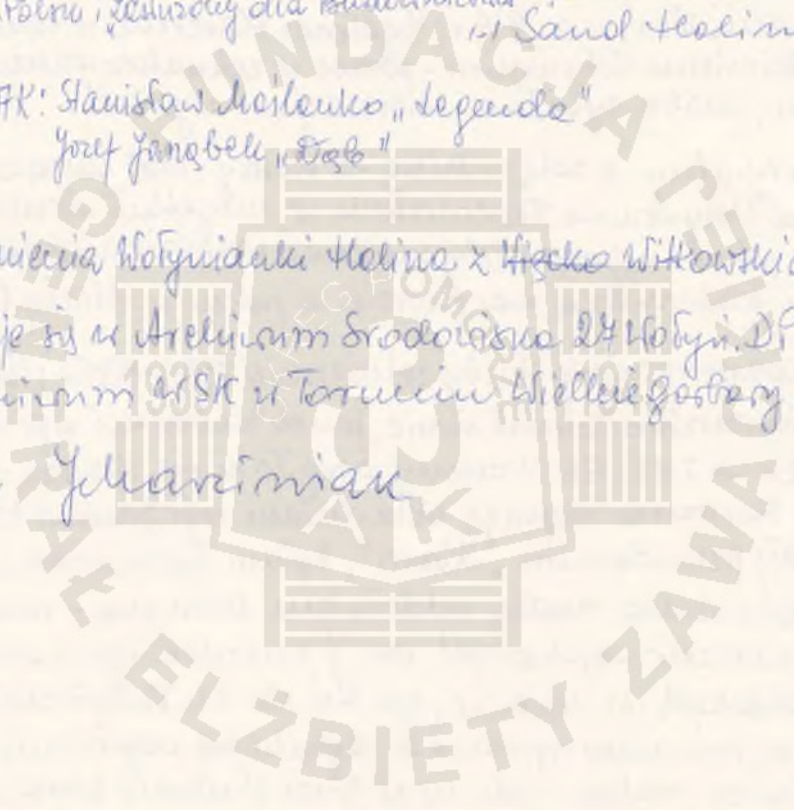
VI.
VII.
VIII.

Krótki życiorys zawodowy: nie kontynuowałam dalszej nauki. Musiałam pracować, żeby utrzymać całą rodzinę. Pracowałam w Ministerstwie Odbudowy, w Instytucie Organizacji Mechanizacji Budownictwa równocześnie spotkałam w związku z pracami zawodowymi, Wystaw zamek w 1961r. Na emeryturę przeszedłam w 1975r. - Odmuszczenie srebrny i złoty Książki Zasługi Książki Kwateronki Odr. Polni i Zasługi dla Budownictwa. -
Sand Helina

Zamysł Okręgu ZWDP PK: Stanisław Milewko "Legenda"
Józef Janobeli "Dob"

Dokument: "Wspomnienia Włocławianki Helina x Hecko Witkowski Sand"

Relacja ufu zaplanuje się w Archiwum Środowiska ZW Włocław. DP PK w Włocław
Spisana dla Archiwum WSK w Toruniu Włocławki gość z Juchanin
w. we, maj 1998r Juchanin



RELACJA WSK

Relacja przekazana 1/1/3
p. J. Marciniaś
zob. też p. dokumentację
kierownik - dyskusji
dysk. przekazane przez
J. Marciniaś - 2

I. Dane osobowe :

SAND HALINA z domu WITKOWSKA

Urodzona : 6.01.1916 r. Moskwa

Rodzice : Czesław i Lucyna z domu Hornowska

Adres : 00-272 Warszawa,

II. Dane środowiskowe :

1) wykształcenie średnie - 2 lata prawo Gimn. im. Kopernika we Włodzimierzu Woł.

Uniw. Warszawski 1938-39r im. J. Piłsudskiego

2) do 1939 r. studentka, społeczna praca w Bratniaku - dział samopomocy Drużyna ZHP w Gimnazjum Kupieckim ul. Królewska

3) przynależność do ZHP

III. Udział w Kampanii Wrześniowej 1939 r.

W ramach drużyny starszoharcerskiej pomagałam w ułokowaniu Polaków z Warszawy do Włodzimierza - służba cywilna : obserwacja i wywiad.

IV. Krótki życiorys "cywilny" lat 1939-1947

W latach 1939-44 mieszkałam we Włodzimierzu Woł. z całą rodziną : rodzice, 2 siostry i brat. Pracowałam w majątku Nowosiółki pod Włodzimierzem jako księgowa robotnica, żeby uniknąć wywozu do Niemiec i na centrali telefonicznej we Włodzimierzu; potem w Straży Pożarnej.

V. Przebieg konspiracyjnej służby żołnierskiej w latach 1939 - 45

1) Patriotyczną postawę kształtował dom rodzinny i harcerstwo. Powołał mnie Jacek Kubalski, mgr apteki we Włodzimierzu na początku 1942 r. Wcześniej wstąpiło moje starsze rodzeństwo - Wiesława i Jeremi, potem Barbara.

2) Przysięgę składałam przełożonemu ZWZ mgr Janowi Kubalskiemu, pseudonimu nie pamiętam. Byłam łączniczką po mieście - pseudonim "Karo".

3) Potem byłam łączniczką między partyzantką leśną - nosiłam, woziłam broń, meldunki np z koszar wojskowych do szefa Kubalskiego i do różnych punktach w mieście Włodzimierzu, też do X. Kobyłeckiego donosiłam.

4) Łączniczką "Karo" we Włodzimierzu byłam do 1944 r. Potem musiałam wyjechać na skutek prześladowania Gestapo do Lublina, a ponieważ miałam rodzinę w Warszawie, zostałam mianowana kurierką AK na trasie Warszawa - Lublin. Do końca dowódcą był mgr J. Kubalski, który też przyjechał do Warszawy. Był nadal moim dowódcą. W Warszawie odbyłam przeszkolenie

Ih/4

kurierek. Miałam 2 kontakty w Warszawie : punkt na ul.Skorupki i Warszawa Praga dawała polecenia.

5) Gestapo we Włodzimierzu 1 miesiąc w ubikacji na sedesie; brali mnie w dzień na roboty i zamykali. Potem w partyzantce 27 WDP ppor. "Sokół". Brat był więziony długo, też pracował z mgr J.Kubalskim w aptece.

Apteka była punktem konspiracyjnym, pracowała też Basia moja siostra pseudonim "Spokojna". Wiesia też była łączniczką "Alberta", przed aresztowaniem uciekła do partyzantki, pracowała poza apteką. Ojciec pracował w wywiadzie AK. Za sowietów był złapany pod "ściankę" razem z młodym księdzem i 2 innymi, ale ojciec został uratowany.

6) W 1944 r. zostałam aresztowana w Lublinie i osadzona na zamku. Był kocioł na ul.Narbutta w Lublinie, aresztowali mnie i łączniczkę z Warszawy - Hanka Rajpold z Piotrkowa Trybunalskiego we wrześniu 1944 r.

VI. Szczegółowy przebieg działalności w organizacjach poAKowskich 1945-47

Po wyzwoleniu nie należałam do AK. We wrześniu 1944 r. aresztowało mnie UB i siedziałam na Zamku w Lublinie do grudnia 1944 r. W maju 1945 r. w dzień 9.05.1945 r. "zakończenia wojny" UB w Warszawie aresztuje mnie i siedziałam na Rakowieckiej sama w celi do amnestii 1 miesiąc (amnestia 10.06.1945 r.)

VIII. Krótki życiorys powojenny.

Nie kontynuowałam dalszej nauki, musiałam pracować i utrzymywać całą rodzinę. Początkowo pracowałam w Ministerstwie Odbudowy i Instytucie Organizacji Mechanizacji Budownictwa. Pracowałam społecznie w Związkach Zawodowych. Wysłałam za mąż w 1961 r. Na emeryturę przeszałam w lipcu 1975 r.

Dokument - "Wspomnienia Wołynianki Halina z Więckownicy Sand"

Ih/5

DEKLARACJA

SAND HALINA z domu Witkowska

ur. 06.01.1916 r. w Moskwie

rodzice : Czesław, Lucyna

pseudonim : "Karo"

Data wstąpienia do AK : lipiec 1942 r.

Przydział organ.: 27 Wołyńska Dyw. AK, łączniczka u "Grota" komendanta miasta Łuck

Odznaczenia : Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami 14.03.1965 r. płk "Luboń" Kazimierz Bąbiński wykaz nr 1/133 z 31.05.1964 r. leg. nie posiadam

Inne odznaczenia : Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi 21.07.1959 i 10.06.1969 r Rada Państwa, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski 10.07.1974 r. Rada Państwa, Złota odznaka Zasłużony dla Budownictwa 18.04.1979 r. Ministerstwo Budownictwa i PMB.

Przebieg służby : do 1939 r. telefonistka na poczcie Włodzimierz Wołyński oraz studia prawnicze /2kk/ na Uniwersytecie w Warszawie

ZWZ - AK : od lutego 1942 r. do lipca 1945 r. łączniczka między Włodzimierzem a oddziałami leśnymi, w 1944 r. kurierka Warszawa - Lublin

karta kombatantka : nr 678120 Zarząd Woj. ZBOWiD

Represje : w marcu 1944 r aresztowana przez Gestapo 2 tygodnie. W październiku 1944 r. 3 miesiące w Zamku Lubelskim, polecenie skontaktowania się z łączniczką z Warszawy. 9.05.1945 r. Rakowiecka, zwolniona 10.06.1945 r. -amnestia. Obydwa razy "Kotły".

Zarząd Okręgu : Maślanko Stanisław "Legenda", Józef Jarząbek "Dąb"

I/4/6

HALINA WITKOWSKA - SAND "KORA"

urodzona dnia w Moskwie, dokąd jej ojciec Czesław Witkowski, urzędnik pocztowy, został ewakuowany wraz z rodziną w czasie I wojny światowej. Matka Lucyna z Hornowskich nie pracowała zawodowo. Rodzina w 1918 r. powróciła do Polski. Ojciec był naczelnikiem poczty we Włodzimierzu Wołyńskim.

W rodzinie żywe były tradycje walki o Polskę. Dziadek Adam Hornowski powstaniec 1863 r. przebywał przez 12 lat na zesłaniu na Syberii. Pradziadek Wojciech Czachorowski także powstaniec 1863 r. Głębokim patriotyzmem były przesycona atmosfera domu, którą rodzice przenieśli na młodzież: syna Jeremiego, w 1939 r. studenta IV roku Uniwersytetu Warszawskiego i na 3 córki - Wiesławę, ~~Bar~~ Halinę i Barbarę.

Halina złożeniem matury w 1937 r. zakończyła naukę w Gimnazjum Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu Wołyńskim. W 1937 - 1939 r. studiowała prawo na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W tych latach udzielała się w "bratniaku" w sekcji pośrednictwa pracy. W 1938 r. założyła drużynę harcerską im. Emilii Plater w gimnazjum kupieckim przy ul. Królewskiej w Warszawie.

Cała czwórka rodzeństwa była znana we Włodzimierzu przede wszystkim z działalności w ZNP, który skupiał liczne grono uczącej się młodzieży. Halina była zastępową, a następnie drużynową i prowadziła drużynę gimnazjalną im. Królowej Jadwigi.

W lipcu 1939 r. przyjechała na wakacje do rodziców do Włodzimierza tu też zastała ją wojna. Jak zwykle podczas wakacji pracowała sezonowo w centrali telefonicznej na poczcie, gdzie na stałym etacie była zatrudniona także siostra Wiesława i koleżanka Krystyna Zagórska.

Jak w całej Polsce, 1.IX.1939r. zapanowała we Włodzimierzu atmosfera wojenna, podsycana wędrówką uciekinierów przed Niemcami z zachodnich i centralnych regionów kraju na wschód, znaczna część dotarła do Włodzimierza. Ożywiony ruch nak kolei poderwał miejscowe harcerstwo. Harcerki pełniły całodobowe dyżury i starały się rozlokować przybywających gdzie się dało. Napływało też coraz więcej naszego wojska. Halina z siostrą Wiesławą, Krystyną Zagórską wraz z wojskowymi obsługiwały centralę telefoniczną, a także przyjmowały telefoniczne informacje o nalotach niemieckiego lotnictwa. Wkrótce przybył ze swoim sztabem naczelnny wódz, marszałek Edward Smigły Rydz, ale po kilku dniach pobytu udał się gdzieś na południe.

1/1/2

17 września 1939 r. weszli Sowieci. Żołnierze polscy opuścili urząd pocztowy, a telefonistki pozostały na posterunku do końca następnego dnia rano wbiegł do pomieszczenia Ukrainiec Szewczenko i wiszący na ścianie nasz sztandar podarł na strzępy, a portret prezydenta Ignacego Moscickiego z furją deptał nogami i krzyczał: "Polszy niet i nie Budziet"... Był pracownik poczty pracował też jego brat i siostrzenica, która była nawet harcerką, a z którą Halina utrzymywała zyczliwe koleżeńskie stosunki. Wszyscy byli traktowani na równi z Polakami i byli awansowani. Aż tu nagle z miną wielkiego bohatera bez zażenowania Szewczenko znieważył symbole Polski w obecności koleżanek Polek.

Żołnierze sowieccy, którzy przejęli pocztę nakazali pod żadnym pozorem poczty nie wolno było opuścić, a praca była bardzo ciężka.

Pod okupacją sowiecką zaczęły się aresztowania policjantów, wojskowych- aresztowali ojca i brata Jeremiego, księży, profesorów gimnazjalnych, a potem wywózki na Sybir... Halina z harcerkami była czynna w niesieniu indywidualnej niezorganizowanej pomocy zesłańcom, ukrywającym się Polakom, aresztowanym, - do których docierały paczki.

22 czerwca 1941 r. zaczęła się okupacja niemiecka. Włodzimierskie więzienie było pełne krwi. Nie zdążył jej zmyć poprzedni okupant.

Przed wywózką na roboty do "Reichu" Halina podjęła pracę w upaństwowionym majątku rolnym w Nowosiólkach pod Włodzimierzem. Zarządcą majątku "Leiter" został Niemiec Langholz. Przy zbiorach buraków pastewnych zostali zatrudnieni jency sowieccy. Wszyscy oni byli strasznie zagłodzeni i strasznie osłabieni. Ukradkiem isułowali pożerać ubłocone buraki. Wstrząsający widok wywoływał współczucie, zapominało się wtedy o krzywdach wrogich i Halina przyszła im z pomocą. Uzyskała zezwolenie "Leitera" na wydawanie zupy i sama pilnowała, żeby nie była za postna. Niedostatek też cierpieła ludność miast. Ale największym pragnieniem Polaków było odzyskanie niepodległości, tomteż garnęli się Polacy do konspiracyjnej walki i na Wołaniu.

Aktywnym punktem działała, konspiracyjnych we Włodzimierzem była apteka prowadzona przez Jana Kubalskiego "Grotę" miał on duże kontakty z Niemcami. Był konspiracyjnym komendantem maista we Włodzimierzem Wołyńskim, zarządzał grupą niezbędnych konspiracyjnie ludzi.

-3-

I/1/8

Jako żołnierze polskiego podziemia byli już zaprzysiężeni -brat Jeremi por. "Sokół II" i Wiesława "Alberta" na początku 1942 r. została zaprzysiężona Halina przyjmując pseudonim "Karo". Najmłodsza suostra Barbara "Spokojna" również była w AK. Pracowała w aptece "Grota" razem z innymi akowcami - Helena Bobulska, Helena Kubalska- siostra "Grota" i Stefania Kwiecinska. Liczne i odpowiedzialne zadania powierzał "Grot" Basi "Spokojnej" która jako łączniczka przenosiła konspiracyjną dokumentację, leki opatrunki i inne rzeczy potrzebne do prowadzenia podziemnej działalności. Równoległym jej zadaniem było przygotowanie najróżniejszych mieszanin chemicznych, z których powstawały "konspiracyjne" materiały wybuchowe". Kiedy w czerwcu 1944 r. wyjeżdżała z Włodzimirza do Lublina powierzono jej przewiezienia do Hrubieszowa 3-ach akowców.

Apteka "Grota" była nie tylko źródłem zaopatrzenia w leki. Dzięki inicjatywie "Grota" i por. Jeremiego "Sokoła II" w aptece podjęto produkcję materiałów wybuchowych. Produkowano miny kolejowe, odpalane za pomocą odpowiednio umieszczonych ampułek ze stężonym kwasem siarkowym. Produkowano również butelki z benzyną, mające spełniać rolę granatów zapalających.

Halina "Karo" została łączniczką "Grota". Pierwszym jej zadaniem konspiratora było przewiezienie karabinu z Nowosiółek do Włodzimirza, wozem z majątku do miasta. Do tej akcji przygotowała się starannie. Włożyła długie buty, rozszerzone górami, do których mogła wsunąć łupkę i zabandażować nogę ... W tym dniu od rana niestrudzenie kulała jako, że zwichnęła nogę. Oprócz magazyniera, od którego bron przejęła, nikt nie mógł wiedzieć. To pierwsze zadanie wykonała pomyślnie. Potem została oddelegowana do pracy w księgowości do majątku w Bortnowie. Nie było tu Niemców ale byli Ukraińcy, którzy wysługiwali się Niemcom. W styczniu 1943 r. w czasie pracy nad bilansem została resztowana wraz z współpracującym Kazimierzem Cieliszakiem, również żołnierzem AK, dowieziona na Gestapo i uwięziona. Przez cały czas przesłuchań powtarzała spokojnie: "nie należę do żadnej organizacji i w związku z tym nie mogłam innych namawiać do wstąpienia" ... nie odstępowała od takiej wersji. Potwierdził to pracujący w Gestapo Ukraińiec, dawny kolega gimnazjalny, który teraz był na usługach Niemców, ale przyczynił się do zwolnienia Haliny z więzienia.

Na Wołyniu rozszalał się mord Polaków przez Ukraińców. Zrobiło się niebezpiecznie także i w Bortnowie, gdyż pracowali tu Ukraińcy. "Leiter" Nowosiółek zgodził się na przeniesienie Haliny do majątku w Nowosiólkach, gdzie było spokojniej, bo bliżej Włodz-

mierza. Wokolo polskie wsie mordowano, grabiono i puszczano z dymem. Dookoła łuny pożarów. Halina "Karo" w dalszym ciągu wykonywała różne zlecenia "Grot", takie jak dostarczanie dokumentów, lub przenoszenie broni pod wskazany adres w mieście.

Barbara i Jeremi pracowali w aptece. Bratu udało się nawiązać ciche więzi z żołnierzami armii węgierskiej, której kontyngent stacjonował w koszarach wspólnie z jakimś oddziałem niemieckim. Żołnierz ów odpowiednio wynagradzany był dostawcą pistoletów i granatów. Brat to przechowywał w mieszkaniu pod podłogą - karabiny i granaty, pociski od moździerzy w drwalce, pistolety nawet w chlebie. Były rewizje i kontrole Niemców w domu brata i w domu rodziców w poszukiwaniu Wiesławy. Brat został uwięziony, a ponieważ Wiesławy nie mogli uchwycić, Halinie nakazali zgłosić się do Gestapo. Przez 10 dni więziona i przesłuchiwana i psychicznie maltretowana wyszła wdzięczna losowi i otarła łzy matce. Brat Jeremi też wrócił z więzienia ale na krótko, umył się, ogolił, wyciął kochanego synka i żonę i udał się do leśnego oddziału partyzanckiego; poszli razem z akowcem zwolnionym też z więzienia. Halina "Kora" dostała rozkaz odprowadzenia ich do oddziału. Przemarsz odbył się bez specjalnych kłopotów. Na miejscu zaś wśród innych partyzantów przywitała ich siostra Wiesia "Alberta", która spalona po wpadce, została wcielona do oddziału leśnego.

Tymczasem gestapowiec, który prowadził śledztwo w sprawie Haliny nie dawał za wygraną. Wpadał do domu rodziców z psem. Dręczył, warczał jak pies, nie dowierzał zeznaniom i nie ukrywał, że Halina pozostaje pod obserwacją, a chodziło przecież o brata i siostrę. Zagrożenia nie zwalniały jednak od zadań konspiracyjnych, które w tym czasie nasilały się; brakowało łączniczek kilka spalonych ratowało się przed torturami przejściem do partyzantki. Jedna Zuzanna Łobanowska ujęta z wozem pełnym broni zakatowana na śmierć. Maria Seroczyńska sanitariuszka 27 Dywizji rozstrzelana z grupą partyzantów, Irena Sierakowska, Wanda Szurowska, Wanda Zienkiewiczówna oddały życie w służbie żołnierskiej dla wolnej Polski. Mimo to nieustannie włączały się nowe dziewczęta chętne do służby choć w stałym zagrożeniu. Halinie "Karo" bardziej doświadczonej łączniczkę "Grot" powierzał coraz to poważniejsze zadania, choć ciągle znajdowała się pod wzmożonym nadzorem Gestapo.

Oddziały leśne 2: Dywizji wymagały stałych dostaw różnorodnych rzeczy. Pilny rozkaz brzmiał: powieziesz wozem "trefny" partyzancki towarz Włodzimierza do miejsca postoju najbliższego oddziału jaki znajdował się 10 km od Włodzimierza. Były to karabiny ukryta w podwójnym dnie wozu, worki z bagnetami ułożone w siedzenie przykryte

słomą, woreczek z orzeźkami, granaty, skóra na zelówki i buty, białe i czerwone płótno na chorągiewki i opaski. Na wylotowych ulicach miasta stały warty niemieckie, kontrolne. Powoził 18-letni chłopak bez dokumentów. Kiedy podjeżdżali do takiego punktu kontrolnego Niemiec wyładowywał wóz z drewnem, szczapa po szczapie sprawdzał, czy czegoś nie ukryto. Wkrótce, choć Niemiec nie zakonał czył wyładunkupodszedł do Haliny z zapytaniem "Haben Sie Speck?" Halina "Specku" nie miała, ale miała coś lepszego: litr spirytusu. Wziął rozpromienioną butelkę, zwolnił z kontroli i zezwolił odjechać chać. Znowu ominęła ją ciężka wpadkaś Jechali dalej przez spalone, zrujnowane i opuszczone wsie gdzie grasowały ukraińskie bandy. Do pierwszego posterunku naszej partyzantki dojechali szczęśliwie. Widok żołnierzy w polskich mundurach, głośne śpiewanie polskich pieśni, atmosfera leśnego obozu odwaznych ... dla nich wszystkich warto było służyć. Ku radości bliskich w ciągu dnia wróciła do domu. Kilka dni potem "Grot" zlecił przenieść pociski do moździerz z jednego końca miasta w drugi, ponad 3 km. Trzy pełne pasy pocisków, choć niedużego kalibru, okazały się ładunkiem ponad siły. Wtem 2-ch Niemców nadeszło i zainteresowali się wyglądem Haliny, co tak ciężko niesie. Na ich widok Halina zdołała przezwyciężyć słabość i z uśmiechem palnęła:"Gold"! Jeden z nich starszy rangą machnął ręką i mogła iść dalej. Ale patrzyli za nią, obejrzała się, przyspieszyła kroku, zmusiła się do wysiłku i dotarła na miejsce.

W tym samy dniu "Grot" polecił Halinie opuścić Włodzimierz, Gestapo nadal interesowało się jej osobą, a poza tym przełożeni montowali łączność na nowym terenie. W marcu 1944 r. "Káro" wyjechała z Wołynia. Wyjechała razem z bratową Mirą i jej synkiem Marianem do rodziny w Milejowie koło Lublina. W domu rodzice pozostali z Basią, w oddziałach leśnych był Jeremi i Wiesława.

Na przetarcie drogi przez zieloną granicę "Grot" wręczył Halinie dwie pięciorubłówki. Bardzo się przydały. Niemieccy żołnierze zgodzili się zabrać ich troje przez granicę "GG" samochodem. Magiczna moc 5-cmorubłówki sprawiła, że po różnych przygodach znalazły się u rodziny w Milejowie.

Oddziały 2: Dywizji atakowane ze wszystkich stron,rozbijane, skupiejące się na nowo, przemieszczały się w bojach na Polesie i Lubelszczyznę. Do Lublina przeniosły się ośrodki sterujące zaopatrzeniem, ruchami i walkami Dywizji.

Halina" Karo" kursując między Lublinem a Waszrawą kontynuowała swoje kurierskie zadania dla Wołyńskiej AK, w dalszym ciągu pod zwierzchnictwem "Grota", który też w maju opuścił Włodzimierz Wołyński. Po wyjeździe z Włodzimierza Wołyńskiego "Grot" skierował

Halinę "karo" na wojskowy kurs oświatowy w Warszawie, który ukończyła. Następnym etapem kurierskie zadania odbywała na trasie Warszawa Lublin. Na szczęście miała sporo rodziny w Warszawie i mogła od czasu do czasu zatrzymywać się i ciotek. Przez rodzinę załatwiła "Kennkartę", a także mogła zameldować się i niezłe urzędzona mogła spokojnie poruszać się po Warszawie i "GG". W Lublinie rodzina stryja Konstantego Witkowskiego działającego w AK na Zamojszczyźnie umożliwiła jej zamieszkanie. We Włodzimierzcu "Karo" utrzymywała się z własnej pracy teraz natomiast otrzymywała od "Grota" miesięczną kwotę 1000 zł przeznaczoną na przejazdy i inne wydatki. Nie wystarczało to jednak na utrzymanie. W tej sytuacji włączyła się do "szmuglerskiej" działalności z kuzynką Halą, która handlowała nićmi, przewoziła je z Warszawy do Lublina, dochodem dzieliły się na pół i z tego mogła się utrzymać. Jedną podróż godną uwagi. "Karo" przewoziła w walizce z podwójnym dnem przewoziła krótką broń i kilka gotowych "Kennkart". Na trasie wsiedli żandarmi i kontrolowali bagaż. Upatrzyli akurat ich walizki choć nie stały razem. Hala podała do rewizji swoją walizkę i Niemiec wściekał się jak zobaczył tyle szpul nici z podrobioną firmą "Guttermann". Tymczasem "Karo" postawiła swoją walizkę u stóp i rozpaczliwie myślami szukała wyjścia z tej trudnej sytuacji. Stojący obok młody mężczyzna z miny i zachowania Haliny wyczuł zagrożenie, uniósł ją raptownie i zniknął. Za chwilę Niemiec zazaądał walizki Haliny. Otworzyła usta do jakiejś odpowiedzi gdy nagle donośny sygnał odjazdu pociągu przerwał i zakończył akcję kontrolną. Wściekły Niemiec oddał "Kennkartę" i wyskoczył z ruszającego pociągu. Nieznajomy bez słowa przyniósł walizkę, pomógł ulokować i natychmiast odszedł. Były to czasy kiedy Polacy wzajemnie sobie pomagali, nie licząc się w własnym bezpieczeństwie.

Kuzynka Hala zapragnęła natychmiast iść na targ w Lublinie i zbyć nici. Nic nie wiedziała, że Halina "Karo" poza nićmi miała w walizce "trefny" towar. Po szczęśliwym wyjściu z pociągu "Karo" powinna doręczyć konspiracyjny towar - powstał dylemat, gdyż obowiązywała zasada konspiracji, od której kuzynka Hala trzymała się z daleka, i nie miała żadnego powiązania. Na rynku znowu niespodziewane okrażenie niemieckie. Zaczął się popłoch, tumult i bieganina ... Jakiś handlarz wskazał boczne wyjście jedyne nie obstawione przez Niemców i udało się. "Karo" swój konspiracyjny towar dostarczyła na miejsce.

W czerwcu 1944 r. wyjechały z Włodzimierza Wołańskiego mama z Basią i zamieszkały w Milejowie. Ojciec pozostał we Włodzimierzcu. Brał udział w walce na jednym z najtrudniejszych odcinków, w wywiadzie.

"Karo" nadal jeździła z zadaniami kurierskimi. Kiedyś otrzymała do przekazania w Warszawie dokumenty w stałym punkcie kontaktowym przy ul. Sadowej. Skorzystała z okazji i zabrała ze sobą mamę i siostrę Basię. Na dworcu kolejowym w Lublinie Niemcy otoczyli i wszystkich mężczyzn ustawili pod ścianą i przystąpili do szczegółowej rewizji. "Karo" dała pudełko z zapalnikami na wierzchu i ukrytą w nim bibułą, na której był tekst, Basi, która była niska. "Karo" zasłoniła ją sobą a ta wsunęła pudełko przez sztachety za płot, przy którym były ścieśnione kobiety. Niemcy po zrewidowaniu zabrali 2-ch młodych mężczyzn i odeszli. Ukryte zapalczane pudełko siostry zdołały podjąć i wsięść do odjeżdżającego pociągu.

Na początku lipca 1944 r. "Karo" otrzymała zlecenie wyjazdu do Lublina. Tym razem trzeba było dotrzeć do oddziału partyzantki 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Większość oddziałów znajdowała się w okolicach Lubartowa. Następnie miała doprowadzić w ten teren 3-ch lekarzy. Narazie nie było możliwości dotarcia do oddziału. Trzeba było czekać, czekali też lekarze.

Zjawił się ojciec, wędrował pieszo w pojedynkę, zakurzony i wychudzony; miał 63 lata. Wkrótce "Karo" wyprawiła go do Warszawy, dokąd dotarł na kilka dni przed Powstaniem. W czasie Powstania razem z młodymi przenosił kanałami bron i amunicję.

Mama pozostawała poza konspiracją, była jednak powiernicą wszystkich i o każdym x wiedziała najwięcej.

25 lipca 1944 r. 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK została przez Sowieców i rozbrojona i rozwiązana.

Do Lublina wkroczyło wojsko sowieckie i wojsko polskie ludowe. Niemcy uciekali w popłochu. "Karo" nie zdołała wrócić do Warszawy, została w Lublinie. W tych dniach dowiedziała się od "Grota", że zginął jej brat Jeremi, por."Sokół II" był dowódcą kompanii w II batalionie 23 pp 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Poległ 19 maja w Lasach Szackich.

Na Majdanku nowe władze stworzyły miejsce tymczasowego przetrzymywania rozbrojonych żołnierzy polskich. AK i tam też zostali osadzeni 3-ej lekarze, z którymi "Karo" utrzymywała kontakt, dostarczała przez druty żywność itp. W tym czasie przybywali do Lublina rozbrojeni partyzanci 27 Dywizji już jako bezdomni, niedożywieni, zabiedzeni i psychicznie zmaltretowani przez "sojuszników" i ich polskich popleczników. "Karo" z koleżankami z Lublina i z Włodzimierza uczestniczyła w zabiegach zapewniających wyżywienie i opiekę. Do zajęć opiekuńczych włączyła się też siostra Wiesia "Alberta", która służyła w oddziale łączności i przeszła cały trudny szlak bojowy z okolic Bielina na Wołyniu aż po Lasy Lubartowskie, gdzie 27 Dywizja została rozbrojona przez Sowieców.

Była kilkakrotnie odznaczona i była inwalidką wojenną. Stryjek Konstanty Witkowski "Miller" działał w AK, w partyzanckiej kadrze dowódczej został uwięziony na Zamku Lubelskim z wyrokiem śmierci, który nie został wykonany. Przebywał długo w szpitalu psychiatrycznym.

28 września 1944 r. "Karo" została aresztowana i uwięziona na Zamku w Lublinie. Po wyjściu z więzienia pracowała w Biurze Planowania i Odbudowy przy Prezydium Rady Ministrów, które wkrótce zostało przeniesione do Warszawy.

Po raz drugi została aresztowana w Warszawie 9 maja 1945 r. Przyszła do "Grot" po leki dla chorej mamy i trafiła na "kocioł" bezpieczeństwa i osadzono ją w więzieniu na Rakowieckiej. Po 2-ach miesiącach została zwolniona na podstawie amnestii.

W czasie działalności kurierskiej za ofiarną pracę, służbę przy utrzymywaniu łączności z Warszawą i Lublinem "Karo" została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami 27 marca 1990 r.-



II Materiały uzupełniające relację

- H. Witkowska - sand „Wspomnienie Wotynianki”, W-wa 1992, k. 65, s. 1-67, mps., kopia
- Informacje dot. J. Kubalskiego ps. „Grot”, d-cy H. Witkowskiej - sand, [b.d.], rkps, oryg., k. 1, s. 68-69



II/1

Narwińska wypracowanie w sprawie oświadczenia
kwatermistrzów - K. Babor
08. 98.

" Wspomnienia Wołyńianki "

Halina z Witkowskich Sand



Wspomnienia zostały opracowane na konkurs "Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-1945", ogłoszony przez Archiwum Wschodnie i Samodzielną Pracownię Dziejów Ziemi Wschodnich II RP Instytutu Studiów Politycznych PAN, przy niezastąpionej pomocy męża autorki **Wiesława Sanda**.

Szate graficzną opracowała wnuczka Sokoła II **Urszula Anna Witkowska**.

Warszawa, dnia 28 lipca 1992r.



AW

Archiwum Wschodnie

**PANI
ISP**

Jury konkursu

Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-1945

serdecznie gratuluje zdobycia przez Panią

Halinę Sand

WYRÓŻNIENIA

Przewodniczący Jury

T. Strzembosz

prof. Tomasz Strzembosz

Komisarz konkursu

Małgorzata Gizejewska

Małgorzata Gizejewska

Prezes Archiwum Wschodniego

Zbigniew Gluza

Zbigniew Gluza

Moje środowisko

*Włodzimierz kochany,
 Ten stary nasz gród,
 Gdzie mieszka od wieków
 Hartowny nasz lud,
 Gdzie echo przeszłości
 Jak złota pieśń gra.
 To Wołyń! To Wołyń!
 Droga ziemia ma....*

Tak zapamiętałam tę pieśń, którą my, harcerki z Włodzimierza Wołyńskiego, najczęściej śpiewaliśmy. Choć nie jestem rodowitą Wołynianką, ta pieśń pozostała mi najbliższa.

Urodziłam się w Moskwie, dokąd mój ojciec, Czesław Witkowski - urzędnik pocztowy - został ewakuowany wraz z rodziną w czasie pierwszej wojny światowej, dzieląc w ten sposób los licznych Polaków. Jak tylko stało się to możliwe, rodzina nasza w 1918r. powróciła do wolnej Polski. Ojciec był naczelnikiem poczty, kolejno w Tarnowie, Zwoleniu i Itży, a w 1930r. został przeniesiony do Włodzimierza Wołyńskiego.

W naszej rodzinie żywe były tradycje walki o Polskę. Dziadek, Adam Hornowski, powstaniec 1863r., przebywał przez dwanaście lat na zesłaniu na Sybirze. Mój pradziadek, Wojciech Czachorowski, także powstaniec 1863r., przez długie lata po powstaniu ukrywał się nosząc przybrane nazwisko Franciszek Dobraniecki i z tym nazwiskiem pracował jako rządca w kilku majątkach ziemskich na terytorium ówczesnego zaboru austriackiego, a dopiero na krótko przed śmiercią ujawnił swoje prawdziwe nazwisko. Głębokim patriotyzmem była przesycona atmosfera naszego domu, którą rodzice przenieśli na młodzież: syna Jeremiego, w 1939r.



VI klasa Ginnazjum im. Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu Wołyńskim na lekcji religii z księdzem prefektem Władysławem Szpacyńskim, w roku szkolnym 1934/35. Autorka w pierwszej ławce (trzecia od lewej).

studenta IV roku Uniwersytetu Warszawskiego i na trzy córki - Wiesławę, Halinę i Barbarę.

Złożeniem matury w 1937r. zakończyłam naukę w Gimnazjum imienia Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu.

W latach 1937-1939 studiowałam prawo na Uniwersytecie imienia Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W tych latach udzielałam się w "bratniaku", w sekcji pośrednictwa pracy. W 1938r. założyłam drużynę harcerską imienia Emilii Plater w gimnazjum kupieckim przy ul. Królewskiej w Warszawie.

W lipcu 1939r. przyjechałam na wakacje do rodziców do Włodzimierza Wołyńskiego. Tu też zastała mnie wojna.



VI klasa Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu Wołyńskim na lekcji religii z księdzem prefektem Władysławem Szpaczyńskim, w roku szkolnym 1934/35. Autorka w pierwszej ławce (trzecia od lewej).

Cała nasza czwórka była znana we Włodzimierzu przede wszystkim z działalności w ZHP, który skupiał liczne grono uczącej się młodzieży. Ja byłam zastępową, a następnie drużynową i prowadziłam drużynę gimnazjalną imienia Królowej Jadwigi.



Grono włodziemskich harcerek. Od lewej: Janina Kalitówna, Wanda Sławińska, autorka, Nisia Lewandowska. Rok 1936.

Jak zwykle podczas wakacji pracowałam sezonowo w centrali telefonicznej na poczcie, gdzie na stałym etacie była zatrudniona także moja siostra Wiesława. Wraz z nami pracowała też nasza koleżanka, Krystyna Zagórska.

Nad Polską wisało nieszczęście wojny. Wiedzieliśmy, że Niemcy się zbroją na potęgę, że w niemieckich planach wojna z Polską była najbliższym celem. Tak jak nas było na to stać przygotowaliśmy się i my, młodzi we Włodzimierzu, do wojny, ale i tak wydarzenia pierwszego września stały się dla nas wstrząsem, jaki, choć może i spodziewany, okazał się wkrótce krwawą, ponurą cenzurą pomiędzy dwoma światami: światem piękna, spokoju i radości w ówczesnej Polsce, zwanej teraz częścią Drugą Rzeczypospolitą, a światem wrażeń zdrady, antypolskości, nieludzkości i bestialstwa w następnych długich latach wojny i podwójnej okupacji, latach nasyconych lękiem o los najbliższych, o los Włodzimierza, Wołynia, Polski, całego świata.



Grono włodziemskich harcerek. Od lewej: Janina Kalitówna, Wanda Stawińska, autorka, Nusia Lewandowska. Rok 1936.

Wrzesień, rok 1939

Jak w całej Polsce, zapanowała we Włodzimierzu pierwszego września atmosfera wojenna, jaką w następnych dniach gwałtownie podsyciała narastająca nieustannie wędrownka uciekinierów. Spośród ludzkich mas uciekających przed Niemcami z zachodnich i centralnych regionów kraju, Poznania, Łodzi i Warszawy na wschód, znaczna część dotarła do Włodzimierza.

Ożywiony ruch na kolei poderwał miejscowe harcerstwo. Pełniłyśmy całodobowe dyżury i starałyśmy się rozlokować przybywających, gdzie się tylko dało, w szkołach i mieszkaniach prywatnych.

Do Włodzimierza napływało też coraz więcej naszego wojska. Centralę telefoniczną na poczcie wraz z nami obsługiwali wojskowi. Do naszych zadań należało także przyjmowanie telefonicznych informacji o nalotach niemieckiego lotnictwa. Wkrótce przybył do Włodzimierza ze swoim sztabem naczelny wódz, marszałek Edward Śmigły-Rydz, jednak po kilkudniowym pobycie udał się gdzieś na południe.

Do miasta dochodziły odgłosy walk. Widziałam spadający w płomieniach niemiecki samolot, był to widomy znak, że Polacy potrafią zadawać ciosy zaborczej, nowoczesnej uzbrojonej armii niemieckiej. Nieuchronnie, choć najmniej spodziewanie zbliżał się jednak koniec walk. Na podstawie umowy Ribentrop-Mołotow ZSRR zadał Polsce cios w plecy. 17 września w nasze granice zaczęła wkraczać armia sowiecka. Poczcie opuścili już w tym czasie nasi żołnierze. Kiedy okazało się, że centrala telefoniczna w Uściługu nad Bugiem, miasteczku położonym w pobliżu Włodzimierza, jest nieczynna, tak że i my postanowiłyśmy opuścić centralę telefoniczną.

Z trwogą cała nasza rodzina (brat był nieobecny) oczekiwała teraz w mieszkaniu dalszego rozwoju wypadków, aż nagle 19 września rano zjawił

się w naszym domu miejscowy policjant i obwieścił nam wielką nowinę: wojna się kończy i podejmujemy na nowo pracę w wolnej Polsce. Ponieważ w tym dniu przypadała mi z grafiku służba przy centrali, szybko ubrałam się i ruszyłam na pocztę, dokąd zaprowadził mnie ojciec.

19 września 1939r. stał się dniem niezapomnianym przez Polaków przebywających wówczas we Włodzimierzu Wołyńskim. W dniu tym obiegła miasto rodosna wieść, podawana z ust do ust: *"Wojna skończona, w Niemczech rewolucja, Hitler zabity, wojska sowieckie na skutek interwencji Stanów Zjednoczonych Ameryki wycofują się z terenów Polski!"*. Szał radości ogarnął naród. Ulice zapełniły się ludźmi, którzy obejmowali się, śpiewali, a co niektórzy płakali ze szczęścia. Zaczęto ustawiać się do marszu. Płynęły patriotyczne pieśni. Rozbrzmiewało "Boże, coś Polskę...", "Nie rzucim ziemi...", "Warszawianka" i inne. Przybywało coraz więcej ludzi i wszyscy dołączali do szeregów.

W radosnym nastroju podjęłam ponownie pracę w centrali telefonicznej wspólnie z koleżanką Krystyną Zagórką, w radosnym tym bardziej, że w budynku poczty i w samej centrali znajdowali się nasi żołnierze pod dowództwem kapitana. Ów dzień szczęścia szybko nam przeleciał. A wraz z nadejściem wieczoru kończyła się także wolność. Najpierw poszedł na kolację kapitan i już na pocztę nie powrócił. Potem w wieczornej ciszy rozległ się nagle krzyk żołnierza: *"Kto żyw do garnizonu! Sowietci zbliżają się do koszar!"* Wszyscy żołnierze wybiegli i zostałyśmy same. Spojrzałyśmy na siebie. Nie mogłyśmy w to uwierzyć. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co robić dalej. Nasze wątpliwości rozstrzygnął jakiś oficer z garnizonu, który na moje telefoniczne zapytanie, co mamy robić, bez wahania oznajmił, że telefonistka musi pozostać na posterunku do końca. Pozostałyśmy więc. Trochę nas strach obleciał. Dodawałyśmy sobie wzajemnie odwagi i modliłyśmy się, aby los był dla nas łaskawy.

Nie minęła nawet godzina, jak garnizon zawiadomił nas, że Sowieci są już w koszarach, a nasze wojsko zostało rozbrojone. Mój rozmówca radził mi być uważną i ostrożną, tym bardziej, że wkraczające nadal oddziały sowieckie miejscowi Ukraińcy i Żydzi witają kwiatami. W następnej kolejności Sowieci udali się na policję, która znajdowała się naprzeciwko poczty. Będą zatem niedługo także u nas! Ten okropny przeskok w ciągu niewielu godzin od najwyższej radości do najgłębszej rozpacz, to straszne zaskoczenie spowodowało, że nerwy zaczęły nam odmawiać posłuszeństwa i opanował nas strach. Po prostu bałyśmy się. Centrala znajdowała się na pierwszym piętrze i aby do niej dojść, trzeba było przejść przez rozmównicę i pomieszczenie telegrafu. Z lękiem wyczekiwałyśmy wejścia żołnierzy sowieckich na pocztę. Spojrzałam na Krysię: była bardzo blada. Ja zapewne też lepiej nie wyglądałam.

W krótkce usłyszałyśmy te ciężkie, twarde kroki. Jeszcze chwila... Najpierw w okienku, które łączyło rozmównicę z centralą pokazali się oni, sowieccy "Bojcy". Weszło ich czterech, o twarzach - jak je zobaczyłam - strasznych, pełnych groźby, zawziętości, nienawiści, buty.

Kryśka nic a nic nie znała języka rosyjskiego. Oni zaś gdy weszli do centrali i zobaczyli, że stoimy, krzyknęli: "*Sadities!*" Ja siadłam, Kryśka stała jednak nadal. Jeden z żołdaków z miejsca potracił ją osadzonym na karabinie szpikulcem. Zmartwiła dziewczyna dopiero teraz zobaczyła, że ja siedzę, zrozumiała i natychmiast usiadła. Zaraz też jeden z nich przekazał nam niedwuznaczne polecenia - przestrogi:

1. *Jeżeli aż do odwołania przez nas tego nakazu przeprowadzicie chociaż jedną rozmowę telefoniczną - kula w łeb,*
2. *Jeżeli ktokolwiek zagra na tym instrumencie (mówiąc wskazał na telegraf) - obie pójdziecie pod ścianę.*

Powiedziałam, że poczta jest otwarta i każdy może wejść i uruchomić telegraf. Jeden z nich odpowiedział, że mogę przecież strzelać... mało ważne,

że nie macie broni, pozostawię wam!. Byli bardzo pewni siebie, buńczuczni, ale broni jednak nie pozostawili. Na szczęście natomiast w parę minut po odejściu żołnierzy zjawili się dwaj przysłani przez nich cywile, którzy mieli pilnować nas i telegrafu. Sowietom wydawało się, że przysłali komunistów, my jednakże znałyśmy obydwu przybyłych jako dobrych Polaków. I tak doczekaliśmy rana.

Ranek był pogodny jak cały tamten wrzesień, ale pogoda nie odmieniła naszej rozpacz. Wkrótce zjawił się w centrali nasz starszy kolega pocztowy, Szewczenko, Ukrainiec. Wbiegł on do pomieszczenia, podszedł do ściany na której wisiał jeszcze nasz sztandar i portret prezydenta Ignacego Mościckiego. Sztandar podarł na strzępy a portret rzucił na ziemię i z furią deptał nogami. Krzyknął: *"Polszy niet i nie budziet!"* Z miną wielkiego bohatera, bez zażenowania robił to w naszej obecności. Zmartwiałam. Instynkt samozachowawczy nakazał mi opanować się, zmilczeć... mimo wszystko zmilczeć tę zniewagę symboli, które były dla nas święte. Potem przez długie jeszcze lata musiałam zmilczeć obelgi, jakimi obsypywali Polskę i Polaków okupanci ze wschodu i zachodu. Nauczyłam się sztuki zachowania pozorów lojalności i uległości wobec nich. Nie zawsze jednak sztuka ta udawała się, nie zawsze bowiem pozwalał mi na to mój polski temperament.

Wkrótce ów Ukrainiec wyszedł. Muszę zaznaczyć, że na tej polskiej poczcie pracował on, jego brat i siostrzenica. Wszyscy byli traktowani na równi z Polakami i awansowani. Jego siostrzenica była nawet harcerką, z którą utrzymywałyśmy życzliwe koleżeńskie stosunki. Skąd więc u niego tyle ukrywanej dotychczas nienawiści do Polaków? Nie rozumiałam tego wtedy i nie rozumię do dziś.

Wnet zjawili się znowu żołnierze sowieccy. Około dziesiątej przyszedł na pocztę mój ojciec, ażeby zabrać mnie do domu; rodzice moi denerwowali się, gdyż długo nie wracałam. Także i teraz Sowietci nie

wypuścili mnie i Krysi. Co więcej, wydali nam kategoryczny, zagrożony kulą w łeb zakaz opuszczania, choćby na chwilę, budynku poczty bez ich zgody. Szczęśliwie się złożyło, że obydwie miałyśmy ze sobą nieco jedzenia a nasze skromne zapasy powiększył trochę mój ojciec.



Pod okupacją sowiecką.

Następnego dnia rano dane mi było ujrzeć po raz pierwszy w życiu wybuch nieokiełznanej, nieludzkiej nienawiści. Widziałam przez okna poczty, której nie wolno mi było pod żadnym pozorem opuścić, jak gromada kilkunastoletnich chłopców, żydowskich wyrostków, bezkarnie ciągnęła za nogi po bruku emerytowanego oficera polskiego, majora Czaprackiego. Miał bardzo potłuczoną o kamienie głowę, już nie wrócił do zdrowia i po paru dniach zmarł. Był to nasz bliski znajomy.

Każdy dzień przynosił nowe, przygnębiające obrazy. Jednego dnia widziałam, jak Sowieci prowadzili naszych oficerów za miasto. Dokąd? Nigdy się tego nie dowiedziałyśmy. Oficerowie byli bez pasów, bez czapek, bez górnej części munduru. W czasie marszu byli poganiani przez sowieckich żołdaków pikami umocowanymi na karabinach. Nie mogłyśmy się opanować i poleciały nam łzy z oczu. Sowieci na poczcie widząc to powiedzieli: *"Wy przez tych polskich oficerów pójdziecie "w tiurmu"."*

Tymczasem miasto zaczęło przybierać wygląd tandetnie przystrojonego cyrku. Ściany budynków przyozdobiono portretami bogów sowieckich: Stalina, Lenina, Mołotowa, Woroszyłowa, Kalinina, Marksa, Engelsa i innych. Pogłębiło to nasz i tak ciężki, bliski załamania psychicznego stan. Kiedy wreszcie po trzech dobach wypuszczono nas z centrali na osiem godzin, nie sprawiło nam to już radości. Niezadługo pośrodku miasta stanął pomnik Stalina.

W centrali podjęły pracę dwie Sowietki, przywiezione na tę funkcję na samym początku wraz z wojskiem. Do pracy została wezwana także moja siostra, Wiesława, która jak wcześniej wspomniałam była zatrudniona już poprzednio na etacie telefonistki. Te dwie Sowietki miały dodatkowo jako zadanie pilnować nas, abyśmy rozmowy prowadziły po rosyjsku.

Jednego dnia wszedł do centrali sowiecki naczelnik i stanął przy nas przysłuchując się rozmowom, jakie prowadziłyśmy telefonicznie. Aż tu nagle zadzwonił Lwów. Z telefonistkami ze Lwowa zawsze rozmawiałam po polsku. Tym razem zgłosiłam się jednak po rosyjsku, za co dostałam niezłą reprimendę, z której niekłamanie się ucieszyłam. Rozmowę kontynuowałam już po polsku, ale nie dokończyłam jej bo naczelnik wpadł we wściekłość i wyrwał mi słuchawkę. Wtedy Lwów mnie zrozumiał. Potem przy najbliższej okazji wyjaśniłyśmy to sobie dokładnie.

Ów naczelnik był zatwardziałym komunistą. Wziął on sobie mnie właśnie na kiel i zapragnął mnie uświadamiać. Opowiadał jak dobrze jest w ZSRR, jak to wszyscy są równi, jaka to jest swoboda i prawdziwa demokracja. I nie mógł zrozumieć, że ja choć po szkole, jestem taka ciemna i zacofana, że chodzę do kościoła i wierzę w zabobony. Powinam być na tyle inteligentna - mówił - żeby wiedzieć, że religia to "obman naroda". Zresztą plakaty o tej treści zdobiły budynki w mieście. Powinam wiedzieć, że ZSRR nie jest krajem zaborczym. Jeżeli sowieccy ludzie wkraczają do innego kraju, to z życzliwości i chęci niesienia pomocy. Nas, Polaków, też przecież ZSRR wyzwolił z pod pańskiego bata. Opowiadał towarzysz naczelnik, jak to strasznie zachowywali się polscy panowie. Dla zabawy i uciechy kazali przywiązywać robotnice do koła młyńskiego, a im głośniej krzyczały one z bólu, kiedy koło zostało puszczone w ruch, tym głośniej bili brawo i lepiej się bawili.

Takimi opowiadaniem byli karmieni ludzie ze wschodu i w swojej naiwności przekazywali je nam. Mówienie im prawdy i prostowanie tych absurdalnych naiwności nic a nic nie skutkowało. Byli wychowani w obłudzie i klasowej nienawiści i od małego nimi nasiąkali.

Praca telefonistki była ciężka. Nie miałyśmy ustalonych godzin pracy. Pracowałyśmy tak długo, jak to wyznaczał każdorazowo naczelnik poczty. Utrudnieniem okazała się także zasada stopniowania połączeń telefonicznych

według ważności i pilności rozmów. Oprócz rozmów "normalnych" były trzy rodzaje specjalnych: "soroczna" - pilna, "mołnaja" - pilniejsza oraz "po wozduchie" - lotnicza. Koszt rozmowy rósł w zależności od stopnia pilności. Byłyśmy zobowiązane nawet przerywać trwającą akurat rozmowę niżej opłacaną, aby połączyć niezwłocznie tę pilniejszą, ważniejszą i zarazem kosztowniejszą. Trudno sobie wyobrazić słownictwo, jakiego używali rozmówcy w razie rozłączenia rozmowy już opłaconej np. jako pilnej. Wysłuchiwałam wówczas rozmaitych, najbardziej ordynarnych, ohydnych rosyjskich przekleństw. Ponadto rozmówcy często donosili na nas do naczelnika poczty. Musiałyśmy być przygotowane, aby zdołać usprawiedliwić się wobec najbardziej absurdalnych zarzutów.

Z pierwszych dni pracy pamiętam jeszcze jedną ciężką chwilę. Otrzymałam telefon. Dzwonił kapitan - Polak. Powiedział, że jest ze swoim oddziałem w pobliskich lasach i zapytał, czy we Włodzimierzu jest wojsko sowieckie. Moja odpowiedź, potwierdzająca pytanie, jak gdyby go zaskoczyła. Dopiero po chwili milczenia powiedział: *"A jednak! Muszę więc rozpuścić żołnierzy. Kończę wojnę"*.

Do centrali zaglądali żołnierze sowieccy, którzy sprawowali techniczną obsługę urządzeń. Raz przyszedł jeden taki, stanął koło mnie i przyglądał się mapie na ścianie. Stał tak blisko, że niewiele myśląc wyjęłam mu z kabury pistolet. Zobaczyła to jedna z Sowietek, Marusia, i krzyknęła: *"Misza! Smatry kakij ty sołdat!"*. Misza odwrócił się, zobaczył pistolet w mojej dłoni, roześmiał się i zapytał: *"Gałoczka, kak ty eto zdzietała? Ja so wsiem nie czuł."* I na tym sprawa skończyła się.

Teraz kilka słów o naszych towarzyszkach. Język, jakim posługiwały się Marusia i Tania był mieszaniną rosyjskiego i ukraińskiego. Dziewczęta te zupełnie nie dbały o swój wygląd: włosy w nieładzie, niedomyte, wyglądały niechlujnie. Szczytem wszystkiego było, że nie używały chusteczek do nosa. W razie potrzeby beztrąsko strząsały zawartość nosa na

podłogę, w najlepszym razie wycierały nos o rękaw lub o samą sukienkę. Kiedy zwracaliśmy im uwagę, że to niezbyt kulturalnie, odpowiadały nam np.: *"Wy tak się chwalicie swoją kulturą, a u was Lwów, takie wielkie miasto, a nie było w nim ani jednej odwyszalni"*. I nieodmiennie kończyły nie bez szyderstwa: *"Wot wasza bolszaja kultura!"*

Kiedyś rano wpadła do nas na dyżur moja siostra Wiesława z wieścią, że aresztowano naszego ojca. Była bardzo zdenerwowana i nie licząc się z niczym głośno oskarżała sowiecką sprawiedliwość, która godzi w niewinnego człowieka. Uspokajałam ją, bo wiedziałam, że tym sposobem nic ojcu nie pomożemy. Tymczasem Sowietki zaczęły używać sobie na Wiesi. Skoro jest aresztowany, to "winowat", a jak będziesz krzyczeć, to i ty "w tiumu popadiesz". Więc nie krzycz!

Dowiadaliśmy się o ojca wszędzie, gdzie miałyśmy jakieś możliwości, ale bez skutku. Nie mogłyśmy go odnaleźć. Na szczęście jednak, ku naszej radości, ojciec powrócił do domu. Opowiadał nam swoje przeżycia. Stał już pod ścianą z innymi zatrzymanymi i gdy enkawudziści kazali wszystkim podnieść ręce do góry i szykowali się do strzału, usłyszał głos naszego byłego gopodarza domu, Ukraińca (jego nazwiska nie pamiętam): *"Co wy robicie! Ja go dobrze znam, to porządny człowiek"*. Wskazał przy tym na ojca. Sowietci posłuchali go i ojca wypuścili. Długo jeszcze miał nasz ojciec przed oczami ustawionych pod ścianą w oczekiwaniu na śmierć ludzi. Obok ojca stało dwóch nieznanym mu młodych księży. O losach wszystkich tych zatrzymanych i ustawionych pod ścianą nic, niestety, nie wiemy.

W centrali telefonicznej zostały zatrudnione jeszcze dwie telefonistki. Zrobiło się trochę lżej, gdyż miałyśmy nieco więcej wolnego czasu. Można było popatrzeć, jak obecnie wygląda miasto. Na ulicach przeważnie całe sowieckie rodziny. Częsty był widok mężczyzn w brudnych, postrzępionych mundurach wojskowych, którzy nieśli dzieci zawinięte w niechlujne kocyki.

Sklepy puste. Tam, gdzie znajdowało się choć trochę byle jakiego towaru - olbrzymie przepychające się tłumy. W sklepie galanteryjnym była początkowo piękna polska bielizna, jaka natomiast całkowicie znikła. Sowietki wykupiły, czy zabrały - tego nie wiem - koszule nocne. Jak się potem okazało, służyły im te koszule w noc sylwestrową jako suknie balowe. Niski, przerażająco niski w 1939 r. był poziom cywilizacyjny tych ludzi.

To ogołocenie sklepów w mieście trwało cały czas. Oczywiście, społeczność polska nie byłaby sobą, gdyby nie skomentowała tego zjawiska. Między sobą mawialiśmy, że pociąg jadący z terytorium Polski w głąb Sojusza wybijał takt w słowach: "Sało, myło, manifaktura" a przyjeżdżający z ZSRR piszczał cichutko w krótkim tempie: "Spiczki, kuryszki". W ten sposób wschodnie regiony Rzeczypospolitej szybko zostały ogołoczone z dostatku dóbr.

W czasie swoich wędrówek po mieście poszłam raz na targ. Zobaczyłam tam bardzo ciekawy obrazek. Po rynku chodził polski chłop z zawieszonymi na szyi pętami kiełbas, choć taki handel był zakazany. Zobaczył to Sowiet, podszedł zaraz i krzyknął: "A eto czto?" Gospodarz niewiele myśląc odpowiedział: "To jest polskie jarzmo". Sowiet zrozumiał, ale nic chłopu nie mógł zrobić, gdyż otaczało go liczne grono kupujących Polaków. Sowiet musiał zapewne pomyśleć, że intensywne szkolenie ideologiczne zawiodło, a może też, że Polacy zawsze będą tęsknić do "pańskich" czasów i nie odpowiada im sowiecka demokracja.

Różnego rodzaju szkolenia, masówki, prasówki, polegające na wmawianiu ludności różnych sowieckich prawd, praw i zasad, stanowiły nieodłączny, "ideologiczny" element życia zakładów pracy, szkół, instytucji, całego społeczeństwa. Także i ja miałam obowiązek co najmniej kilka razy w miesiącu uczestniczyć w takich "umoralniających" imprezach. Oprócz tego odbywały się większe masówki dla ludności poszczególnych dzielnic

Włodzimierza, przeprowadzane zazwyczaj w godzinach wieczornych; przybywało na nie zwykle zbyt mało ludzi, wówczas zaś Sowieci chodzili od domu do domu i ściągali opieszających na "spęd".

W mieście wprowadzano nieustannie zmiany, m.in. w nazewnictwie, niektóre niepoważne, nawet śmieszne. Dzielnicę, która z uwagi na kredowe, białe brzegi rzeki Ługi nazywała się Białobrzegi, Sowieci przemianowali na "Krasnyje Berega". Pierwszy człon słowa "Białobrzegi" skojarzył się Sowiecom zapewne z białogwardzistami i dlatego, wbrew oczywistości, słowo to znalazło się na indeksie.

Do trudnych przeżyć naszej rodziny doszło nowe: aresztowanie brata Jeremiego, który uczestniczył w obronie Warszawy i po kapitulacji stolicy wracał do domu, do Włodzimierza. Niestety, przekraczając zieloną granicę został ujęty i aresztowany przez Sowieców. Dowiedzieliśmy się o tym od właściciela domu, w którym mieszkaliśmy, Rosjanina nazwiskiem Balicki. Uzyskał on wiadomość, że brat znajduje się w więzieniu w Kowlu i można mu podać paczkę. Matunia przygotowała natychmiast paczkę i pojechałam do Kowla. Jechałam nocą, gdyż paczki przyjmowali tylko we wczesnych godzinach rannych. Przy więzieniu zastałam wielu zrozpaczonych ludzi, nie byłam w swojej tragedii samotna. Na szczęście paczkę przyjęto. Dowiedziałam się, że paczki można dostarczać raz w miesiącu.

Nic więcej nie mogłam uczynić. Pozostało mi jeszcze sporo czasu do odjazdu, zwiedzałam więc Kowel, w którym życie niczym się nie różniło od włodziemskiego. Tak samo na ulicach pełne Sowieców, a w sklepach pustki, mury pooklejane portretami wielkich komunistów. W czasie tej wędrowki znowu natknęłam się na wstrząsający widok: grupa polskich księży sprzątała chodniki ze śniegu i lodu. Był to okres zimy 1940 r. Praca była ciężka, lód trzeba było rozbijać kilofami. Od wielkiego wysiłku, pomimo mrozu, księża byli zgrzani. W grupie tej zauważyłam naszego kochanego prefekta z Gimnazjum we Włodzimierzu, księdza Władysława

Szpaczyńskiego. Młodzież w szkole otaczała go wielką miłością i szacunkiem; urzeć go w takiej sytuacji było dla mnie ciężkim przeżyciem. Pomimo tych okoliczności ucieszyliśmy się ze spotkania. Chwilę udało się nam porozmawiać, przypominaliśmy sobie dyskusje w szkole, m.in. na temat naszego wschodniego sąsiada. Właśnie ksiądz Szpaczyński był tym jedynym, jak pamiętam, z naszych pedagogów, który mówił nam o Sowietach całą, straszną prawdę. Wiedzieliśmy sporo już wówczas, ale to, co się stało, co przeżywaliśmy i widzieliśmy teraz, dalece przekraczało nasze ówczesne wyobrażenia. Od księdza prefekta dowiedziałam się wtedy, że nasi księża są objęci aresztem domowym, a ich dalszy los, według jego słów - to Sybir lub kula. Mówił to, jak gdyby nie tylko przeczuwał, ale wiedział: ksiądz prefekt Władysław Szpaczyński został przez Sowietów zamęczony. Stało się to w drodze z jednego łagru do drugiego w okolicy Archangielska. Towarzyszył mu wtedy ksiądz dziekan Tokarzewski, który nie miał siły iść, bardzo często padał; wymagał pomocy, gdyż o własnych siłach nie mógł się już podnieść. Cały czas pomagał mu ksiądz Szpaczyński, aż do tego krytycznego momentu, kiedy ksiądz Tokarzewski nie mógł się już poruszać. Eskortujący bojec zastrzelił obydwu. Okazał się ksiądz Szpaczyński prorokiem, gdy mówił mi, że czeka go Sybir lub kula: doznał Sybiru, zginął od kuli sowieckiego siepacza.

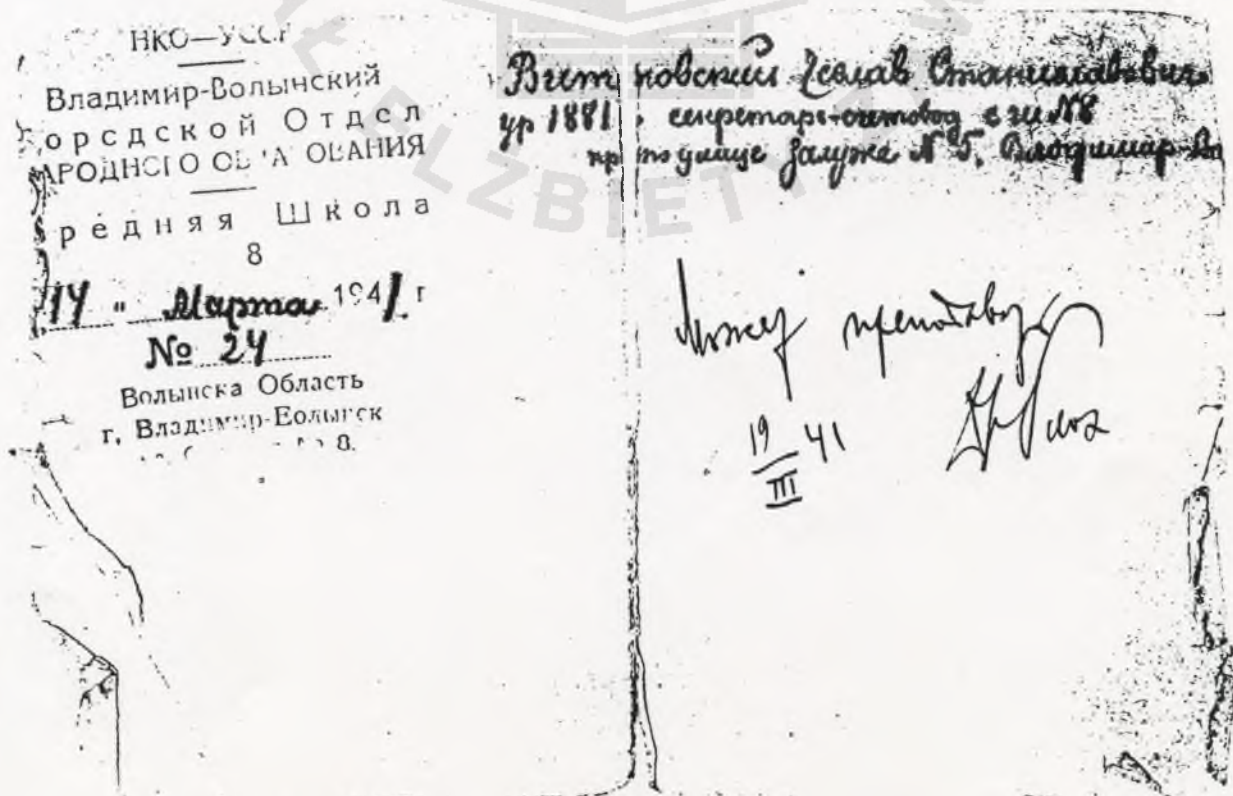
Wśród wielu innych podobna śmierć spotkała niezapomnianego dyrektora naszego gimnazjum we Włodzimierzu, Leona Kisiela. Pamiętam i innych: ksiądz Galicki został zamordowany podczas ucieczki Sowietów przed Niemcami 22 czerwca 1941 r.; ksiądz Gładysiewicz został osadzony w łagrze; ksiądz Kobyłecki dwukrotnie przebywał w więzieniu.

Powróciłam wówczas do domu załamana. Widok księży odśnieżających Kowel z perspektywą Sybiru lub śmierci pozostał niezapomniany do dnia dzisiejszego. Pamiętają o swoich profesorach wychowankowie Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika we Włodzimierzu

Wołyńskim. Tablica upamiętniająca grono ówczesnych naszych wychowawców została umieszczona w 1979 r. w kruchcie kościoła św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Wkrótce minął miesiąc od oddania paczki w więzieniu, zaczęliśmy więc przygotowywać dla brata nową. W tym czasie otrzymaliśmy jednak od Balickiego wiadomość, że brat został przewieziony do więzienia w Berdyczowie, który jako położony w innym (żytomierskim) obwodzie, był objęty dla nas zakazem wyjazdu. W ten sposób nasz kontakt z bratem został zerwany.

Warunki życia stały się bardzo ciężkie, także te materialne. Z mojej rodziny pracowali wszyscy poza matką. Ojciec, który od 1937 r. korzystał z urzędniczej emerytury, musiał teraz podjąć pracę. Znając perfektnie język rosyjski jeszcze z czasów carskich, został księgowym i sekretarzem w sowieckiej szkole średniej, nota bene w gmachu naszej starej gimnazjalnej "budy". Jego pomocnicą zaś została moja młodsza siostra Barbara. Oboje dobrze trafili, gdyż dyrektor szkoły, Rosjanin, szczęśliwie okazał się cichym przyjacielem Polaków.



Витковскому
 Павел Станиславович
 серж. бухгалтер.
 с и №.
 28/1-1941г.

Доверенность

Предоставлено сего г-верено полу-
 чить продукты и материалы из Угталека
 в количестве при с и № и прому выда-
 вать только по предивлении сего г-верен-
 ности. -

Серж. бух. *Антон*

Владимир-Вон.

Dwa dokumenty związane z pracą ojca autorki, Czesława Witkowskiego, w szkole średniej w okresie okupacji sowieckiej.

Od wkroczenia do Polski Sowietci dokonywali aresztowań polskich policjantów i wojskowych. W lutym 1940 r. nastąpił pierwszy zorganizowany wywóz Polaków na Sybir. W pierwszej kolejności wysyłką zostały objęte rodziny osadników oraz aresztowani i ich rodziny. Zwykle o północy podjeżdżał samochód ciężarowy z czterema uzbrojonymi żołdatami. Wpadali oni do mieszkań i nakazywali wszystkim domownikom natychmiast ubrać się i spakować. Na wszystko była niecała godzina. Licniejszej rodzinie z drobnymi dziećmi dodawano jeszcze szczerze około piętnastu minut. Potem bojcy wyganiali wszystkich do samochodu i wieźli na dworzec, gdzie następował, bez względu na porę roku, "załadunek" ludzi do bydłących wagonów, bez okien i dostępu powietrza. W wagonach umieszczano wiadra, aby umożliwić załatwianie potrzeb fizjologicznych, bądź to usuwano w tym celu kawałek deski z podłogi wagonu.

Od pierwszego transportu także życie pozostałych w mieście Polaków stało się gehenną. Rozpacz po utracie bliskich, strach przed znalezieniem się na liście do wysyłki, obawa przed innymi szykanami - wszystko to kładło się ciężkim brzemieniem na naszą psychikę, na całe nasze życie.

W kwietniu nastąpił kolejny transport. Wywieziono wówczas część wcześniej aresztowanych Polaków i ich rodziny. W transporcie tym wywieziono moją przyjaciółkę, Barbarę Kołodziejczyk, z którą utrzymywałam następnie stały kontakt korespondencyjny. Została ona osiedlona razem ze swoją matką w Kazachstanie, jej ojca natomiast, maszynistę kolejowego, członka PPS, zesłano do Archangielska. Początkowo zamieszkiwała z matką w chatynce, gdzie, aby utrzymać ciepło, klepisko było wymoszczone suchym zwierzęcym nawozem. Z biegiem czasu udało się im uzyskać nieco lepsze pomieszczenie mieszkalne. Barbara po krótkim kursie pielęgniarstwie pracowała m.in. w szpitalu jako pielęgniarka. Warunki życia okazały się tam przerażające, nie tylko ze względu na niedostatek podstawowej żywności, ale przede wszystkim na niewyobrażalnie antyludzkie warunki higieniczne. W pomieszczeniach mieszkalnych, w obiektach publicznych, nawet w szpitalu wszechwładnie opanowały ludzi wszy, pchły i inne robactwo roznoszące zarazy, od jakich gęsto ginęli ludzie, zwłaszcza ci, co niedojadali. Na tyfus plamisty zachorowała i wkrótce zmarła matka Barbary Kołodziejczyk. Właśnie tam, na tej nieludzkiej ziemi najczęściej pozostawały na zawsze matki, które przytłaczało nieszczęście własnych rodzin, zwłaszcza dzieci.

Druga z koleżanek, Ala Turowska, córka lekarza, była wyjątkowo prześladowana. Została ona "porządkową" w kazachstańskiej wsi Piszczanoje, w rejonie Gorkowskim; musiała ona przez długi czas, dzień po dniu, sprzątać w całej wsi ludzkie nieczystości. Sowietci mścili się na niej, gdyż w domu w trakcie przygotowań do wywózki zalała ona naftą worek cukru wiedząc, że nie będzie mogła go zabrać i skorzystają z niego Sowietci. Biedna, ciężko za to zapłaciła, gdyż informacja o jej czynie dotarła do Kazachstanu razem z nią. Jej dalsze losy nie są mi znane.

Pragnę tu podkreślić, iż w związku ze świadomą, systematycznie realizowaną przez Sowietów deportacją Polaków na Sybir większość

włodzimierskich harcerek i harcerzy była czynna w niesieniu indywidualnej i zorganizowanej pomocy tym, których wcześniej objęła wraża pomoc. Odczuwali tę pomoc aresztowani i ich rodziny, Polacy ukrywający się, zesłańcy na Sybirze, do których docierały paczki, Właśnie za tę działalność liczną grupę harcerek i harcerzy objęły aresztowania, wywózki i inne prześladowania.

Tymczasem na poczcie nastąpiły zmiany. Przybył nowy naczelnik, młody i energiczny. Oto jak przedstawił mnie ustępujący naczelnik nowemu, kiedy stawiałam się na wezwanie w jego gabinecie: *"Ty jeszcze nie znajesz. Eto Galina. Ona nigdy nie pajdiot ruka w ruku z komunistami. Nie zabywaj ab etom"*. I rzeczywiście nowy naczelnik nie zapomniał. Wkrótce potem przyszedł po mnie do domu o godzinie dwunastej w nocy enkawudzista, który zaprowadził mnie do gmachu NKWD. Tam po wstępnym przesłuchaniu zażądano, ażebym wyraziła zgodę na współpracę z nimi. Nie zgodziłam się. Noc w noc, wielokrotnie byłam zabierana z domu. Rozmowa trwała każdorazowo trzy godziny lub dłużej, grożono mi i straszono. Zawsze też przerywano rozmowę na jakieś pół godziny i zostawiano mnie samą w pomieszczeniu, w którym leżał na biurku pistolet. Ot, jedno z takich nieczystych, pachnących prowokacją, sowieckie świństwo. Był to bardzo trudny okres dla całej mojej rodziny, zwłaszcza zaś dla mamusi, która wyczekiwała z lękiem nocnego walenia do drzwi i uprowadzania mnie. Enkawudziści zrozumieli jednak, że nie będę z nimi współpracować i po pewnym czasie zaprzestali mnie męczyć. Wiedziałam jednakowoż, że jest to spokój pozorny i czekałam na dalszy ciąg. Mogłam spodziewać się wszystkiego, na razie skończyło się to jednak tylko wyrzuceniem mnie z pracy.

Mimo wrogiej atmosfery, jako mnie otaczała, żał mi było opuszczać centralę telefoniczną, bo spotkałam tu wielu ciekawych ludzi. Nowy naczelnik równie jak poprzednik zajadły komunista, nienawidził inteligencji

czy - jak to mówił - "panow". Na tle otaczających nas innych sowieckich twarzy sam wyglądał nawet inteligentnie i wiedział o tym. Opowiadał, że jego ojciec był arystokratą, matka zaś zatrudnioną u niego służącą. Ojciec nie uznał podobno syna, włożył tylko do kieszonki fartucha matki sporą kwotę pieniędzy i ocenił, że jest to wystarczające. Największym marzeniem naczelnika, jak sam mawiał, było spotkać ojca, aby móc napluć mu w twarz. Biedny naczelnik o trudnym dzieciństwie nie dostrzegł jakoś, że właśnie teraz, w komunizmie, liczni mężczyźni zostawiają na pastwę losu swoje żony z dziećmi i uciekają od płacenia alimentów, a nierzadko czynią to także kobiety wobec swoich mężów, jakoby w imię wyższych celów komunizmu, dla którego rozbijanie tysięcy rodzin nie ma żadnego znaczenia.

Innym, niewątpliwie ciekawym typem, był polski robotnik, przybyły do nas z Łodzi. Bardzo często ze mną rozmawiał. Opowiadał jak to w Polsce źle traktowano robotników, zwłaszcza komunistów: ciągle aresztowania, wysyłki do Berezki Kartuskiej, osadzanie w innych więzieniach, gdzie się z nimi nie cackano. Wysłuchiwałam tego spokojnie i przedstawiałam swoje: Polskę, zniszczoną ponad stuleciem niewoli, powinien odbudować cały naród i naród czynił to z poświęceniem, jedynie komuniści, zaprzędani ZSRR, działali w imię obcych interesów na szkodę państwa i narodu, nie można przeto się dziwić, że komuniści byli choć częściowo izolowani. Wysłuchiwał tego w miarę spokojnie, a co najważniejsze, nie zdradził i nie doniósł. Potem na jakiś czas został oddelegowany na szkolenie do Moskwy. Kiedy wrócił, dyskusja była z nim krótka. Skruszony przyznał mi bowiem rację, orzekł jedynie, że jednak władze polskie niewłaściwie postępowały z komunistami. Zamiast mianowicie zapełniać nimi więzienia, powinni być oni wysyłani do ZSRR; z takiej wyprawy powracaliby całkowicie wyleczeni z komunizmu.

Do moich wspomnień interesujące wieści wniosła jedna z telefonistek, Żydówka. Rozmowa z nią poszerzyła mi nieco sprawę krzewienia się w Polsce komunizmu. Zapytałam ją kiedyś, gdzie pracowała do tej pory. Ona roześmiała się w głos: "Czy ja wyglądam na idiotkę, która by parła się pracą? Byłam komunistką i mogłam sobie pozwalać na wszystko, co najmniej dwukrotnie w roku odpoczywałam w Zakopanem, luksusowo ubierałam się i jadłam. Na to wszystko wystarczały mi pieniądze, otrzymywane systematycznie od ZSRR." Wiedzieliśmy coś niecoś o tych zdradzieckich sprawkach, a jednak takie wprost przyznanie się zelektryzowało mnie.

We Włodzimierzu Wołyńskim obok Polaków zamieszkiwały różne mniejszości narodowe. I wszystkim nam żyło się jednakowo. Do szkół polskich uczęszczali także Ukraińcy, Żydzi, Rosjanie, Niemcy i inni. W gimnazjum miałam koleżanki nie tylko wśród Polek, ale także Ukrainki i Rosjanki, Niemki. Wspólna szkoła, wspólna ława łączyły nas bardzo. Z jedną z rosjanek, Halą Simonowicz, byłam szczególnie blisko zaprzyjaźniona. Powszechnie zawiązywały się przyjacielskie kontakty, raczej bez względu na różnice narodowościowe. W gimnazjum obowiązkowa była nauka języka ukraińskiego, choć w Ukraińskiej SSR języka polskiego w szkołach nie uczono. W mieście, a zwłaszcza w pobliskich wsiach, sporo małżeństw było mieszanych.



Boże Narodzenie w 1939r. w mieszkaniu niemieckiej rodziny pastora Schena. Pierwsza z prawej Irena Schen. Obok niej Rosjanka, Halina Simonowicz. Autorka w studenckiej czapce Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie



Boże Narodzenie w 1939r. w mieszkaniu niemieckiej rodziny pastora Schena. Pierwsza z prawej Irena Schen. Obok niej Rosjanka, Halina Simonowicz. Autorka w studenckiej czapce Uniwersytetu im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

Pod okupacją sowiecką

Nagle powstała pomiędzy wieloma z nas, choć przecież nie pomiędzy wszystkimi, przepaść, jaką aż trudno zrozumieć. Jedno jest pewne: nie Polacy tę przepaść niecili. Niektóre Ukrainki zaczęły się zwracać do swoich polskich koleżanek wyłącznie po ukraińsku. Z miejsca zapomniały języka polskiego. A przecież nawet we własnych domach, gdzie nie było żadnego obowiązku, najczęściej rozmawiały uprzednio po polsku.

Życie nasze biegło szaro i ponuro. Transporty nie ustawały teraz i już nie było wiadomo, kto i dlaczego dostawał się na listę wywózki. A każdy nowy transport to nowa polska tragedia. Nie tylko zresztą polska. Mojej rosyjskiej koleżance, Hali Simonowicz, nie pomogła jej narodowość. Miała ona w rodzinie popa, co sprawiło, że "za karę" została wywieziona na Sybir w takich samych warunkach w jakich odbywali tę golgotę Polacy.

Tylko jeszcze rodzinny dom był naszą ostatnią ostoją. Promienniejsze chwile w tym tak bardzo trudnym okresie naszego życia tworzyła nam wieczorami nasza matka. Śpiewaliśmy cichutko patriotyczne pieśni, opowiadałyśmy każda o własnych przeżyciach i wrażeniach. Matunia śpiewała piosenki swojej młodości, opowiadała o ciężkim życiu dziadka na Sybirze. "Opieka" rosyjskiej policji nie ustała nawet po jego śmierci. W czasie pogrzebu dziadka w 1911r. w Warszawie nawet na cmentarzu brudzieńskim asystowali cały czas łapacze z ochrony i policji. Zebrały się wówczas wielkie tłumy, uczestnicząc w ostatniej drodze dziadka i władze rosyjskie obawiały się rozruchów.

Przy okazji tych wspomnień stanęła mi przed oczyma jak żywa jeszcze jedna scena z czasów pracy na poczcie. Jeden z kręcących się tam żołnierzy poprosił mnie, abym zaśpiewała jakąś polską piosenkę. Gdy odpowiedziałam, że teraz polskich pieśni śpiewać nie wolno, on gorąco zaprzeczył. Zaśpiewałam więc "Jeszcze Polska nie zginęła..." Wówczas on usiłował mi przeszkodzić i kończyłam urywek tej polskiej pieśni nieomal

Pod okupacją sowiecką

krzycząc, aby mógł usłyszeć choć pierwszą zwrotkę. W końcu powiedziałam: *"Miałam rację - polskich pieśni śpiewać nie wolno"*.

Jeszcze o jednym transporcie pragnę napisać. Był to jakiś dziwny transport. Do Włodzimierza zjechała niespodziewanie komisja niemiecka. Zaborcy ustalili, że Sowietci przesiedlą na "stronę niemiecką" Polaków, którzy pragnęli wyjechać za Bug. Przez cały tydzień potem można się było zapisywać na wyjazd, a chętnych znalazło się sporo. W większości byli to ludzie z terenów na zachód od Bugu, których okupacja zastała we Włodzimierzu. Lista została wkrótce zamknięta i Niemcy wyjechali. Następną nocą Sowietci "zgarnęli" wszystkich zapisanych na liście i natychmiast kolejną wywieźli na Sybir, jak zwykle w bydłych wagonach.

Następowały także masowe zsyłki obywateli ziemskich z bliższych i dalszych okolic Włodzimierza. Z wielu pozostawionych przez nich, doskonale dotychczas prosperujących, majątków ziemskich, utworzona "spółdzielcze" kołchozy bądź państwowe sowchozy. W jednych i drugich rozpoczęła się grabieżcza, rabunkowa gospodarka sowiecka, realizowana przez "swoich" ludzi przywożonych z głębi Sojuza i osadzanych na kierowniczych stanowiskach w rolnictwie. Gwałtownie szybko niszczały dworki i pałacyki ziemiaństwa, te swoiste, materialne świadectwa polskiej tu obecności cywilizacyjnej i kulturalnej.

Po zesłanych na Sybir Polakach pozostawały także opuszczone budynki mieszkalne, które władza sowiecka niezwłocznie nacjonalizowała. Wolne teraz mieszkania zapełniały masowo sprowadzane z głębi ZSRR różnonarodowe rodziny sowieckie. Znacjonalizowanymi domami gospodarzył tak zwany "Gorkomchoz", a ściślej jego oddział, zwany "Domouprawlenie", który zajmował się między innymi ściąganiem czynszów, drobnymi naprawami i utrzymywaniem porządku. Właśnie w takim "Domouprawlenju" otrzymałam pracę jako rachmistrz. Moim bezpośrednim szefem został miejscowy Żyd nazwiskiem Aepfelbaum, młody

Pod okupacją sowiecką

jeszcze człowiek, jednak bez szkoły, który kiedy zgłosiłam się do pracy powiedział: *"Nigdy nawet nie marzyło mi się, że będę szefem tej młodej panny w białej studenckiej czapeczce"*. Odpowiedziałam: *"Ja też o czymś takim nie marzyłam"*.

Praca moja polegała na załatwianiu interesantów, pobieraniu czynszów i prowadzeniu prac rachunkowych. Mój szef okazał się ludzki. Bardzo często zaopatrywał mnie w żywność, gdyż kiedy przebywał na terenie ściągając czynsze, łatwiej mu było coś kupić. Miał swoje układy i udawało mu się czynić zakupy bez kolejki. W stosunku do mnie miał duże zaufanie i okazał się dość szczery. Kiedyś opowiadał mi, że przed wojną należał do młodzieżowej grupy syjonistycznej i przygotowywał się na wyjazd do Palestyny. Starał się on tłumaczyć postępowanie Żydów faktem, że nie mają swojej ojczyzny i gdziekolwiek się znajdują, chcą być bardzo ważni, to zaś nie może się podobać miejscowej społeczności. Raz przyniósł on z "Gorkomchozu" plik plakatów. Były to jak zwykłe portrety wielkich Sowietów. W czasie jego nieobecności spaliłam wszystkie poza jedynie portretem wodza, Stalina. Gdy szef powrócił i dowiedział się o tym, bardzo się zdenerwował i przestraszył. Chcąc go uspokoić powiedziałam: *"Nie trzeba wieszać wszystkich. Wystarczy jak będzie wisiał Stalin"*. Szef pozostał nadal pełen obaw, ale nie doniósł na mnie do tych, którzy tylko na coś takiego czekali.

Pracując miałam możliwość nieco poznać Sowietów. Nawet najbardziej prości spośród nich na ogół darzyli Polaków zaufaniem. Znalazłszy się sam na sam ze mną każdy nieomal stawał się szczery i opowiadał o sobie, o warunkach w jakich żyją, o dramatach jakie muszą przeżywać. Nad każdym wisiała ciągła groźba aresztowania, często ktoś z bliskich "zaginał" i później brak było o nim jakiegolwiek wieści. Jeżeli podczas rozmowy wchodził ktoś trzeci, mój rozmówca natychmiast milknął. Bardzo się bali siebie wzajemnie, nawet brat brata. Rozmowy starano się prowadzić przy bardzo głośno

nastawionym aparacie radiowym, ażeby zagłuszyć głosy rozmówców. Nigdy nie było wiadomo kto, kiedy i co na kogo doniesie. Mąż donosił na żonę, żona na męża, syn na rodziców, współpracownicy czy sąsiedzi jeden na drugiego. Biedni to byli ludzie i straszni zarazem. Tak ukształtowani przez system okazali się dla nas wielce niebezpieczni. Musieliśmy bardzo uważać, aby za dużo nie powiedzieć w niewłaściwym miejscu lub niewłaściwej osobie. Pomimo wszystko byli oni bardzo oddani swojemu krajowi. Wierzyli jedynie w swoich bożków - władców, nie zaś w Boga, przynajmniej zewnątrz - tak to odbieraliśmy.

We Włodzimierzu były trzy kościoły rzymsko-katolickie, jeden ewangelicki, zwany z niemiecka "Kirchą", prawosławny sobór i żydowska synagoga. Zaraz na samym początku został zamknięty sobór prawosławny i Kościół ewangelicki, a jeden z rzymsko-katolickich (garnizonowy) został zamieniony na spichlerz zbożowy. Pozostałe czynne świątynie w czas nabożeństw wypełniały się tłumami wiernych. Zwłaszcza Polacy nie ukrywali swojej wiary. Także i nasza rodzina odnawiała w kościele, na przekór wszystkiemu, ufność w Boga i wiarę w lepszą przyszłość.

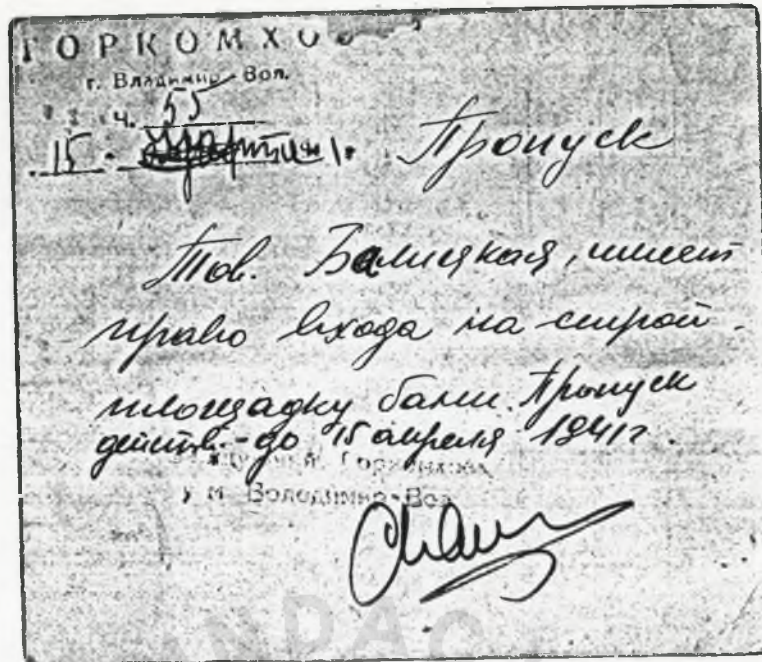
Znane mi były przypadki, że Sowietci chrzcili swoje dzieci, ale czynili to po kryjomu. Zdarzyło się jednak i tak, że żołnierz sowiecki w czasie nabożeństwa wszedł do naszego kościoła pijany, w czapce na głowie i paradował prosto do ołtarza. Nie zdołał jednak dojść, bo kobiety chwyciły go za ręce, czapkę wepchnęły mu do ust i tak go wyprowadziły z kościoła.

Władze sowieckie traktowały nas jako obywateli ZSRR. Wszyscy otrzymaliśmy dwujęzyczne rosyjsko-ukraińskie "pasporty", ważne do 1945 r., bez których nie można się było ani na krok ruszyć. "Pasportem" legitymowaliśmy się przy załatwianiu ważniejszych i licznych błahych spraw.



Dwujęzyczny, rosyjsko-ukraiński "pasport" autorki, wydany przez sowieckie władze 17 sierpnia 1940r.

A w ogóle władze kochały się w papierkach. Wiązało się to między innymi z rozbudowanym systemem rzeczywistych i pozornych przywilejów, bo i takie nie dla wszystkich były osiągalne. W czasie mej pracy w "Domouprawlenju" podległym "Gorkomchozowi", który nadzorował także jedyną miejską łaźnię, zdarzyło się, że przydzielono mi specjalny "propusk" do tej łaźni. Brzydziłam się jednak z niej skorzystać i wołałam kąpiele domowe.



"Propusk" wydany przez "Gorkomchoz", upoważniający do korzystania z łaźni.

Nieszczęściem było wynikające z obywatelstwa ZSRR wcielanie młodych Polaków do sowieckiego wojska i wywożenie gdzieś do odległych rejonów bez możliwości korespondencyjnego choćby kontaktu z rodzicami.

A oto jedno jeszcze zdarzenie, jakie naświetla nasze ówczesne postawy, zachowania i poglądy. Przygotowywane przeze mnie dokumenty księgowe i finansowe nosiłam do zbiorczej księgowości w "Gorkomchozie". Księgową była tam Sowietka. Pewnego razu przyszła ona do naszego biura. Tak się złożyło, że w tym czasie mój szef czymś mi się naraził i odezwałam się do niego dość niegrzecznie i ostro, wypominając mu jego narodowość. Zobaczyłam wtedy wystraszone oczy księgowej. Nadal jednak rozmawiałyśmy na tematy służbowe, aż do wyjścia mojego szefa. Dopiero teraz księgowa wyjaśniła, dlaczego się tak bardzo zdenerwowała: "Gala" - powiedziała - "gdyby tak ktoś u nas odezwał się do "Jewreja", to nigdy by nie wyszedł z więzienia. Gdyby zaś nasi "Jewreje" byli tacy jak wasi, to nosilibyśmy ich na rękach". Muszę tu dodać, że "Jewrej" to właściwie w języku rosyjskim określenie narodowości, słowo "Żyd" ma natomiast wydźwięk obelżywy, akurat odwrotnie jak u nas.

Swoistą parodią były wybory, w których pod groźbą poważnych konsekwencji musieli uczestniczyć także Polacy. Wzięłam udział w takich wyborach do władz miejskich. W pomieszczeniu wyborczym znajdowały się trzy kabiny zaciągnięte kotarami. Kiedy otrzymałam kartę do głosowania, skierowano mnie do pierwszej z brzegu kabiny, w której nie było ołówka (długopisów wówczas jeszcze nie używaliśmy), co uniemożliwiło mi dokonanie skreśleń. Nie dałam jednak za wygraną. Opuściłam kabinę i zażądałam ołówka. Usłyszałam na to : *"Ach tak, wam potrzebny ołówek! Proszę bardzo, ostatnia kabina!"* W ten prosty sposób komisja wyborcza dowiedziała się, że należę do grupy wyborców dokonujących skreśleń, a skreślenia były praktycznie uznawane za działalność wrogą wobec ZSRR. Nie przejęłam się tym. Co więcej widziałam, jak w ślad za mną poszli także inni polscy wyborcy. W kilka dni po wyborach ogłoszono oficjalny komunikat, z którego dowiedziałam się, że odpowiedni kandydaci z listy wyborczej zostali wybrani jednogłośnie. Prawdę znali jednak tak samo oni jak i my.

W naszym domu ze zmartwieniami przemieszała się radość. Brat powrócił szczęśliwie z więzienia. Była już wiosna roku 1941, bliższej daty jednak nie pamiętam. Jeremi wyglądał niespodziewanie dobrze, ale okazało się wnet, że była to niestety tylko opuchlizna. Był poprostu zagłodzony. Trafił na obiad, przygotowany przez mamę dla całej naszej piątki, obiad wyjątkowo obfity i kaloryczny, bo udało się nam kupić od żydowskich handlarzy cielęcinę. Brat jak się dosiadł do mielonych kotletów z pajdami chleba, tak nie zostawił nic na stole. Na zdrowie, Braciszku!. Baliśmy się tylko, aby się nie rozchorował. On po jedzeniu wstał od stołu, umył się, ogolił i rzucił na łóżko. Spał do następnego dnia, okrągłą dobę. Dopiero wtedy zaczął z nami rozmawiać. Tak się złożyło, że był to dzień wolny od pracy i mogliśmy się nacieszyć obecnością brata i nasłuchać jego opowiadań, choć niewiele chciał mówić. Warto może wyjaśnić, że władza

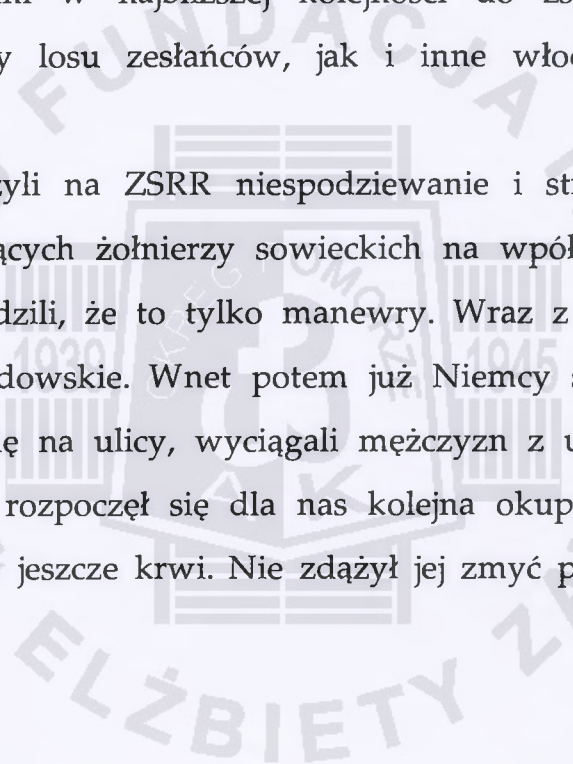
Pod okupacją sowiecką

sowiecka nie uznawała niedzieli i świąt kościelnych, ustalała natomiast w tygodniu "wychodnoj" dzień i tym musieliśmy się zadowolić.

Brat podjął wkrótce pracę w ogrodnictwie już upaństwowionym i zajmował się rozwózką warzyw. W tym okresie wstąpił w związek małżeński z Mirosławą Resz, którą do Włodzimierza przywiódł wojenny los. Lubiliśmy ją, cała nasza rodzina.

Tymczasem nad naszą rodziną zawisła nowa groźba. W połowie czerwca 1941r. dowiedzieliśmy się od naszego gospodarza, Balickiego, że jesteśmy przewidziani w najbliższej kolejności do zsyłki na Sybir. Nie zdążyli! Uniknęliśmy losu zesłańców, jak i inne włodziemskie polskie rodziny.

Niemcy uderzyli na ZSRR niespodziewanie i straszliwie skutecznie. Widzieliśmy uciekających żołnierzy sowieckich na wpół rozebranych. Ale i wtedy jeszcze twierdzili, że to tylko manewry. Wraz z Sowietami masowo uciekały rodziny żydowskie. Wnet potem już Niemcy strzelali do każdego kto tylko pokazał się na ulicy, wyciągali mężczyzn z ukrycia i na miejscu rozstrzeliwali. I tak rozpoczął się dla nas kolejna okupacja. Włodziemskie więzienie pełne było jeszcze krwi. Nie zdążył jej zmyć poprzedni okupant.



Pod okupacją niemiecką

Przez parę dni strach było wyjść z domu, a i we własnych mieszkaniach nie było zbyt bezpiecznie. Rankiem jednego z tych pierwszych dni po ostrym waleniu w drzwi wszedł do nas jakiś oficer niemiecki. Poleciał mi nalać do miski ciepłej wody i zdjawszy koszulę kazał się umyć. Jak przykazał, myłam mu plecy, uszy, ręce. On zaś stale powtarzał: "Noch einmal!" Kiedy zaspokoił tę swoją dziwną żądę czystości, bez słowa opuścił nasze mieszkanie. Niby nic wielkiego, ale przeżyłam to ponizenie bardzo, bo nigdy jeszcze coś takiego mnie i moją rodzinę nie spotkało i szczerze mówiąc w Polsce spotkać nie mogło.

Nieobecność oficera nie trwała jednak długo. Po godzinie znów przyszedł i kazał się ponownie myć. W tym czasie była u nas właścicielka domu i ona otworzyła drzwi. Jej właśnie przypadła niemiła rola mycia Niemca. Pani Balicka, starsza i sprytniejsza ode mnie, pucowała go z takim zacięciem, że Niemiec powtarzał w kółko: "Genug, genug!" I od tej pory oficerowi odechciało się mycia u nas.

Następne spotkanie z Niemcami mogło się dla mnie bardzo źle skończyć. Po kilku dniach wpadł do nas jak bomba jakiś oficer, bez słowa zabrał z otomany haftowane poduszki i zaraz wyszedł. Tu zobaczył jednak na płocie bardzo ładny koc jaki właśnie wywiesiliśmy do wietrzenia. Niemiec zawołał mnie i kazał sobie go podać. Byłam wściekła, gdyż wszystko to było jawną kradzieżą. Zdjęłam koc z płotu i trzepałam tak, ażeby kurz skierować wprost w twarz Niemca, a w końcu "szmyrgnęłam" w niego tym kocem. Bez słowa odszedł. W większym budynku, tuż obok naszego, należącym także do pana Balickiego, naszego gospodarza, stacjonowało w tym czasie dowództwo jakiegoś niemieckiego oddziału. Moje desperackie wyczyny widział jeden z grupy żołnierzy, obsługujących owe dowództwo. Był to znany nam już nieco Ślązak, który zaraz ostro ruszył

ku mnie krzyżąc: "Czorna" - tak mnie nazywał - "Co ty wyrabiasz? Masz dużo szczęścia, że nie palnął ci w łeb. Uważaj ty, bo na drugi raz on ci już nie daruje!" Takimi zdarzeniami rozpoczęła się dla mnie nowa okupacja.

Ażeby jako tako wyżyć, zajęłam się domowym wyrobem mydła i następnie z jedną ze szkolnych koleżanek, Wandą Rzepecką, sprzedawałam je po bliskich wsiach, gdzie także skupowałyśmy od gospodarzy barani łój. Moja siostra Wiesława nabywała aż w Łucku sodę, kalafonię i jeszcze jakieś dodatki - zamiennie za inne towary. Do mydła dodawałyśmy dla zapachu wodę kolońską i interes zaczął się rozwijać. Niedługo jednak mogłyśmy się nim cieszyć. Wkrótce już Niemcy rozpoczęli masowe wywózki na roboty do "Reichu", a chałupniczy wyrób mydła oznaczał dla okupantów raczej uchylanie się od pracy. Zostałam więc robotnicą rolną: kopałam ziemię w upaństwowionym już przez Sowietów majątku, którego zarządcą ("Leiterem") został teraz Niemiec o nazwisku Langholz. Majątek, położony w odległości około czterech kilometrów od Włodzimierza, nosił nazwę Nowosiółki. Uważałam, że nieźle się tu "zahaczyłam", narazie nie groziła mi wywózka, a wydawało się bezpieczniej, aniżeli w mieście.

Wkrótce główny księgowy majątku, Polak pan Turzeniecki, zatrudnił mnie w księgowości. Był to dla mnie wielki sukces, gdyż do roboty w polu nie byłam przygotowana, a księgowość już trochę znałam z pracy w "Gorkomchozie". Było teraz lżej i przyjemniej. Do pracy i z pracy do miasta przewożono nas codziennie wozem. Aby jednak nie żyła zbyt spokojnie, czuwał nad tym "Leiter", Niemiec. Na przykład w czasie żniw zapędził mnie do roboty w polu. Wiązałam snopki. Nigdy tego przedtem nie robiłam i pozostawałam w tyle za innymi. Ciągłe przeto słyszałam ponaglenia: "Halina, sznel!" Po takim dniu pracy czułam się zmęczona do ostatka.

Przy zbiorach buraków zatrudniono jeńców sowieckich. Wszyscy oni byli zagłodzeni i strasznie osłabieni. Nie można było na to spokojnie

Pod okupacją niemiecką

patrzeć. Ukradkiem, kiedy Niemcy nie widzieli, jeńcy usiłowali pożerać "utyłane" błotem buraki. Ten wstrząsający widok sprawiał, że najbardziej zatwardziały człowiek musiał im współczuć. Zapominało się wtedy, co Sowieci robili nam. Tak też stało się ze mną i pomyślałam jak im pomóc. "Leiterowi" przedstawiłam sprawę w ten sposób, że jeżeli chce mieć z jeńców jakich takich robotników, to choć raz dziennie powinien dać im jeść. O dziwo Niemiec zgodził się. Jednakże pod warunkiem, że sama zajmę się tą sprawą i będę im wozić jedzenie. Był zapewne przekonany, że się tego nie podejmę. Pomylił się. Od tej pory przez cały czas pracy w majątku jeńcy otrzymywali zupełę, ja zaś pilnowałam, ażeby nie była za postną; zawsze choć jakaś "chabanina" wpadła do kotła.

Kiedy po raz pierwszy przypchałam na taczkach kocioł i zaczęłam rozlewać porcje gęstej zupy w menażki (kilka menażek udało mi się na ten cel zebrać) podchodzący kolejno pierwsi z jeńców usiłovali klękać i całować mnie po nogach. Walczyłam z tym zdecydowanie, byłam przecież jak najdalej od upokarzania tych zabiedzonych i zmaltretowanych ludzi. W jakiś sposób musieli mnie zrozumieć, bo następni przyjmowali ten dar losu spokojniej na zewnątrz. Zawsze jednak za każdą łyżkę strawy spotykał mnie ich wdzięczny wzrok.

Oto inne jeszcze zdarzenie, jakie zapamiętałam. Kiedy jednego dnia "Leiter" wybierał się załatwić sprawy we Włodzimierzu, zmusił mnie do powożenia bryczką. Znowu musiałam zdawać egzamin z umiejętności, jakiej nigdy przedtem nie opanowałam. Bardzo się denewowałam, bo nie wiedziałam nawet jak posługiwać się lejcami, ażeby koń zechciał skrócić w lewo czy w prawo, tam gdzie trzeba. Bardzo często robiłam odwrotnie i bałam się, że wywrócę bryczkę. Myślałam, że "Leiter" mnie zwymyśla, on zaś bez przerwy rechotał, jakbym mu swoją nieudolnością sprawiała wielką radość. W drodze powrotnej do majątku poszło mi już lepiej.

Wkrótce nad moją rodziną zawisła nowa groźba. Niemcy zabrali z domu moją siostrę, Wiesławę. Miała ona być wywieziona na roboty do Niemiec. Siostra okazała się nieprzydatna Niemcom we Włodzimierzcu, gdyż nie pracowała w jakiejś uznawanej przez nich instytucji, lecz zajmowała się dorywczo handlem i drobnymi pracami chałupniczymi. Z całego serca pragnęłam Wiesię uratować. Jedną z moich gimnazjalnych koleżanek, Irena (nazwiska nie podaję z pewnych względów), utrzymywała bliskie stosunki z Niemcem. Był to "Gebietskommissar" i należał do grona niemieckich władców miasta. Z powodu intymnej zażyłości z wrogiem Irenę otaczała niechęć naszego społeczeństwa. Zdecydowałam jednakże prosić o pomoc w sprawie Wiesi właśnie ją. Irena leżała wówczas chora i nietety nie mogła sama nic uczynić. Dała mi jedynie swoją wizytówkę z odręczną notatką - prośbą o zwolnienie mojej siostry. Poszłam więc. Niemiec, któremu podałam wizytówkę, powiedział: "Aaa, Fraulein Irena! Gut! Gut!" Otrzymałam od niego paperek, na podstawie którego siostra została zwolniona, pomimo że znajdowała się już w grupie ludzi prowadzonych na dworzec. Gdy powróciłam z Wiesią do domu, wśród powszechnej radości jedna matula płakała, tym razem ze szczęścia. Dodam, że Irena wspomagała także innych Polaków. Zginęła potem w wypadku samochodowym.

Któregoś dnia, na początku 1942r. usłyszałam, jak w sąsiednim pokoju w naszym mieszkaniu moja starsza siostra, Wiesława, została zaprzysiężona jako żołnierz polskiego podziemia. Wiedziałam o tym, że wcześniej przysięgał mój brat, Jeremi. Wkrótce i ja złożyłam taką przysięgę. Nieco później do Armii Krajowej wstąpiła moja najmłodsza siostra Barbara. Ja przez cały czas miałam pseudonim "Karo".

Moje pierwsze zadanie jako łączniczki, to przewiezienie karabinu z Nowosiółek do Włodzimierza wozem, jakim pracownicy powracali z majątku do miasta. Starannie przygotowałam się do tej akcji. Włożyłam długie buty (akurat były "modne" wysokie buty, u góry rozszerzone, jeżeli

w ogóle można mówić o jakiejś modzie w czasach okupacji). W takie buty mogłam wsunąć łupkę i zabandażować nogę. W tym dniu od rana niestrudzenie kulałam, gdyż jak twierdziłam, upadłam i zwichnęłam nogę. Musiałam odegrać rolę, gdyż inaczej każdy by zauważył karabin, zwłaszcza przy wsiadaniu i wysiadaniu, a w majątku, oprócz magazyniera, od którego broń przejąłam, nikt nie mógł o tym wiedzieć. To pierwsze zadanie udało się szczęśliwie. Chorej z usztywnioną nogą pomogli koledzy, kiedy wsiadała i schodziła z wozu.

Dyrekcja w Nowosiólkach nadzorowała kilka majątków i przyjmowała we władanie coraz to nowe. Do jednego z tych majątków, Bortnowa, zostałam oddelegowana do prowadzenia księgowości. Dyrektorem tego majątku był Polak, Jan Twardowski. Nie było tu Niemców i pracowało się przyjemniej. Nieraz z różnymi sprawami byliśmy wzywani do Nowosiółek.

Nie było Niemców, byli jednak Ukraińcy. Oni za Sowietów byli komunistami, teraz zaś za Niemców, powrócili do nacjonalizmu, wysługując się przy tym Niemcom. W styczniu 1943r. w nocy, w czasie pracy nad bilansem, który sporządzałam wspólnie z kolegą z sąsiedniego majątku, Kazimierzem Cieliszakiem (był również żołnierzem AK, niedawno zmarł w Warszawie), wkroczyła nagle policja ukraińska i zostałam aresztowana. Rano miałam zostać przewieziona do Gestapo we Włodzimierzu. Po przewiezieniu na posterunek Ukraińcy kazali mi wejść na strych i zatrzasnęli wejście. Co jakiś czas słyszałam na trzeszczących przeraźliwie schodach kroki jakiegoś policjanta, który obiecywał, że się ze mną zabawi, ale pozostali zatrzymywali go obawiając się, że się poskarzę do Gestapo i mogą mieć kłopoty. Na strychu harcowały myszy. Muszę się przyznać, że choć nie zaliczam się do tchórzliwych, to widok myszy wprowadza mnie w panikę. I wtedy też nie zmrużyłam oka ze strachu przed myszami, Ukraińcami i Gestapo. Ale wszystko, dobre czy złe, ma swój koniec. Rankiem ukraińscy policjanci wsadzili mnie na sanie i zawieźli do Gestapo

Pod okupacją niemiecką

we Włodzimierzu. Po niedługim czasie doprowadzono mnie do pomieszczenia, gdzie znajdowało się dwóch gestapowców. Rozpoczęło się badanie. Jeden z nich mnie przesłuchiwał, drugi natomiast sporządzał notatki. Przesłuchujący mnie twierdził, że ma dowody, iż należę do podziemnej organizacji. Ma na to zeznania dwóch osób, które poinformowały Gestapo, że również je namawiałam do przystąpienia do organizacji. Badanie trwało chyba około pięciu godzin. Nie odstępowałam jednak od swojej wersji: *"Nie należę do żadnej organizacji i w związku z tym nie mogłam namawiać innych do wstąpienia"*. W pewnej chwili przesłuchujący mnie wezwał przez telefon jeszcze jednego, z którym rozmawiali na mój temat po niemiecku. I oto, kiedy ten nowo przybyły gestapowiec odwrócił się, poznałam go: okazał się nim mój kolega gimnazjalny, Ukrainiec, który mieszkał niedaleko mnie (dziś już nie pamiętam jego nazwiska). Nieraz odbywaliśmy wspólnie drogę do gimnazjum. Teraz zaskoczył mnie, gdyż do tej pory nie wiedziałam, że stał się on funkcjonariuszem Gestapo. Ten, który mnie przesłuchiwał, zapytał go komu, jego zdaniem, można wierzyć: mnie, co twierdzę, że do żadnej organizacji nie należę, czy ... (tu padło nazwisko którego nie dosłyszałam), która przetrzymywana w więzieniu zeznała, jakoby namawiała ją do wstąpienia do organizacji. Mój były kolega oświadczył wówczas, że mnie bardzo dobrze zna i ja na pewno nie kłamię. Po jego zdecydowanej opinii szybko już powróciłam do domu. Tak więc szczęście znowu mi dopisało, a ów kolega stał się moim wybawcą. Jakże zaskakujące okazywały się wówczas ludzkie postawy! On - Ukrainiec, gestapowiec, a jednak!... Potem nigdy go już nie spotkałam. A w domu, dokąd już dotarła wieść, że jestem w Gestapo, zastałam mamę płaczącą. Szybko otarłam mamie łzy. Zaraz też musiałam wracać do pracy, aby zakończyć bilans.

Niezadługo nad Wołyniem zawisła groza nasączona zdradą, zbrodnią, śmiercią. Wielu z Ukraińców potrafiło do tej pory sprytnie korzystać z łask,

najpierw Sowieci, a potem Niemców, działając pospół z okupantami przeciwko narodowi polskiemu. Teraz zaś w postawie znacznej części Ukraińców coś się odmieniło. Złożona z Ukraińców i wiernie dotychczas służąca Niemcom policja ukraińska z całym uzbrojeniem uciekała masowo do lasów. Tak zaczął się na naszych ziemiach wschodnich nowy rozdział polskiej gehenny.

Pierwszego zbiorowego mord, o jakim pamiętam, dokonali Ukraińcy w jednym z majątków niedaleko Włodzimierza. Pamiętam kondukt dziewięciu trumien i rozpacz rodzin. Drugi zbiorowy mord nastąpił w kościele w Porycku koło Włodzimierza. W czasie nabożeństwa wpadli do kościoła Ukraińcy, poblokowali drzwi i dokonali krwawej rzezi toporami, nie używając broni palnej, jako że - jak oświadczył jedyny uratowany z tej masakry świadek, który stracił nogę, ale udało mu się przeczłgać za ołtarz i tam się ukryć - mordercy głosili: *"Szkoła kuli na Polaka"*.

Zrobiło się gorąco także w Bortnowie. Pracowaliśmy razem z Ukraińcami, którzy zapewne, gdyby otrzymali rozkaz wymordowania nas, wykonaliby go, choćby chroniąc siebie. Wreszcie zostaliśmy zmuszeni uciekać z Bortnowa, zbyt odległego od miasta i dlatego szczególnie niebezpiecznego. "Leiter" Nowosiółek, Langholz, zgodził się przerzucić nas do Nowosiółek, gdzie było spokojniej, bo bliżej Włodzimierza.

Niemcy we Włodzimierzu stali się dla nas, Polaków, jakby nieco łagodniejsi na tle tych bestialskich, masowych mordów dokonywanych przez ukraińskich szowinistów, chociaż nie przeciwdziałali zbrodniom. Nie przestali też być groźni. Nie ustawały zwłaszcza aresztownia Polaków.

Z Nowosiółek mogłam powracać codziennie do domu około szesnastej. W drodze często widzieliśmy łuny płonących polskich wsi. Z wieści jakie do nas docierały, zaczął kształtować się przerażający obraz szowinistycznej nienawiści. Na wsiach nierzadkie były mieszane, polsko-ukraińskie małżeństwa. Nacjonałści ukraińscy żądali w takich razach, ażeby

mąż - Ukrainiec, bądź żona - Ukrainka, zamordowali swoich współmałżonków. W razie odmowy musieli straszną śmiercią ginąć oboje małżonkowie. Nieomal na równi z Polakami prześladowane były rodziny ukraińskie wyznania grekokatolickiego. W tych warunkach wszyscy, co czuli się Polakami, a także Ukraińcy grekokatolicy, musieli opuszczać rodzinne wsie ratując się ucieczką do miast, gdzie przeważał element polski. Biada tym, co nie zdążyli! Kto miał wóz, jeśli w porę zdecydował się wyruszyć, mógł zabrać więcej z dobytku, inni zabierali tylko co nieco na sklecone naprędce taczki.

Mieszkania i przede wszystkim ulice Włodzimierza wypełniły się uciekinierami z pobliskich wsi. Wprost trudno było się tu poruszać. Miasto nie miało możliwości wchłonąć, przygarnąć i zaopiekować się wszystkimi z tego wielkiego ludzkiego natłoku. Sytuacja stała się na tyle ciężka, aż na tyle bez wyjścia, że nasi księża nie widząc innego praktycznego rozwiązania, z ambony namawiali ludność, ażeby kto może zgłaszał się na roboty do Niemiec. I tak dzięki Ukraińcom przybywało Niemcom wiele "ochotniczych" rąk do pracy.

Opuszczone polskie wsie Ukraińcy nadal puszczali z dymem i niszczyli pozostawiony polski dobytek. Wieczorami w dalszym ciągu widać było dookoła Włodzimierza wielkie łuny pożarów. Coraz też trudniej było zdobyć coś do jedzenia. Brakowało żywności. Za pracę w majątku, zgodnie z warunkami umowy, ja i inni powinniśmy dostawać deputat w zbożu i mięsie. Upominaliśmy się o to u "Leiter", on jednak odpowiadał, że pracownikom Bortnowa deputat należy się jedynie z tego majątku i jeżeli ktoś pojedzie tam i przywiezie, co się należy, to on przydzieli wszystkim zaległe świadczenia. Wówczas, niewiele myśląc wyrwałam się że ja pojedę. Zarządzałam jednak, abym otrzymała także pieniądze na wypłatę zaległego wynagrodzenia Ukraińcom, którzy pozostali w Bortnowie. Następnego dnia rano dostałam pieniądze i listę Ukraińców oraz zestawienie należnych

deputatów, tak dla pracowników ukraińskich, jak i dla Polaków, którzy przeszli do pracy w Nowosiólkach. Na usilną swoją prośbę zabrała się ze mną jedna Ukrainka wyznania greckokatolickiego, która pragnęła spotkać się tam z rodziną. Ucieszyłam się z jej towarzystwa i poczułam się nieco różnie. Powoził także Ukrainiec, robotnik z majątku w Nowosiólkach. W drodze obydwie odmawiałyśmy na głos modlitwy prosząc Boga o opiekę. W pewnej chwili zaintonowałam: *"Kto się w opiekę odda panu Swemu ..."*. Po odśpiewaniu modlitwy nabrałam ufności, że nic złego się nam nie stanie.

Kiedy minęliśmy bramę podwórca Bortnowa, ujrzeliśmy nagle zbrojny po zęby i jednolicie, na wojskowy sposób umundurowany oddział Ukraińców. Natychmiast podszedł do nas jeden z nich i zapytał, zwracając się do mnie, po co tu przyjechałam. *"Czy może sprawdzić, jak idzie robota w polu?"* - zagadnął sarkastycznie. Odpowiedziałam mu spokojnie, że niczego nie zamierzam sprawdzać, a prace w polu muszą trwać zawsze, bez względu na to kto je wykonuje, Polacy, Niemcy, czy Ukraińcy. Zaraz też wyjęłam z torby listy mówiąc, że przyjechałam w dwóch sprawach:

po pierwsze, ażeby wypłacić pobory miejscowym ludziom, którzy pracowali w majątku, a nie otrzymali wynagrodzenia,

po drugie, ażeby pobrać zaległe deputaty dla pracowników polskich, przysługujące zgodnie z umową oraz pozostawić do realizacji listę deputatów dla pracowników ukraińskich.

Ukraińiec długo mi się przyglądał i wreszcie podjął decyzję. Polecił mi zejść z wozu i udać się do magazynu, aby tam załatwić obie sprawy. Wśród zbrojnych Ukraińców zawrzało. Głośno i gorąco protestowali oni przeciw wydaniu deputatów Polakom, zarzucali też "cackanie się" z Polką. Stanowcza postawa tego, który ze mną rozmawiał, a okazał się ich przywódcą (*"Ja tu dowódca!"* - wykrzyknął) sprawiła, że gromada nieco się uspokoiła i mogłam przystąpić do pracy.

Wyplata zarobków robotnikom i przygotowanie deputatów trwało około czterech godzin. Robotnicy ukraińscy załadowali na wóz dobra deputatowe zgodnie z listą i ich przywódca pozwolił mi opuścić majątek, zatrzymał jednak pod bronią Ukrainkę, która tu ze mną przyjechała, a której nie dopuszczono do rodziny. Kiedy poprosiłam go, aby pozwolił mi zabrać i ją, usłyszałam: *"Czy ty nie jesteś za bezczelna? Wbrew żądaniom moich ludzi pozwoliłem ci, ażebyś bez kłopotów załatwiła swoje sprawy, choć mogłem cię postawić pod ścianą, albo jeszcze gorzej ... a ty masz jeszcze wymagania. Tamta to odszczepieniec, odeszła od naszej wiary i nie będę jej pomagać"*.

Sama byłam w tamtej chwili zaskoczona swoją twardą postawą, kiedy odważyłam się mu powiedzieć: *"Przyjechałyśmy tu we troje i we troje odjedziemy. Przyjęłam ją w opiekę i chcę wypełnić swój obowiązek do końca"*. On popatrzył na mnie groźnie, ale powiedział: *"Ani się nie denerwowałaś, ani nie pokazałaś strachu. Twoja odwaga posunięta aż do bezczelności sprawiła, że wypuszczam cię cało. Zabierz ją i jedź. I pamiętaj: więcej się tu nie pokazuj, bo już nie starczy mi dla ciebie cierpliwości"*.

"...Ani się nie denerwowałaś..." Nie wiedział, że nie okazałam tylko tego na zewnątrz, ale umierałam przecież nieomal ze strachu i zdenerwowania. Zgodził się jednak! Podziękowałam mu i cała nasza trójka ruszyła jak najszybciej w powrotną drogę.

Kiedy koniki żwawo kłusowały, zastanawiałam się, jak wytłumaczyć fakt, że w czasie, gdy wokoło Ukraińcy mordują Polaków, mnie, która dobrowolnie weszła w paszczę lwa, nic się nie stało. Czy to tylko moja "bezczelność" - jak to nazwał ukraiński prowodyr - czy może też on sam był bliższy człowieczeństwa, aniżeli ludzka tłuszczka, którą dowodził.

Po przybyciu do Nowosiółek jeszcze nawet nie zdążyłam zejść z wozu, jak "Leiter" Langholz przywitał mnie okrzykiem: *"Halina, ty żyjesz?! Jak tego dokonałaś?"* Krzyknął oczywiście po niemiecku, jednak dobrze go

zrozumiałam. Musiał być Niemiec przekonany, że z tej wyprawy cało nie wrócę.

Wiem, że gdybym nie miała świadków, nikt by nie uwierzył, że w Bortnowie stał oddział uzbrojonych Ukraińców, którzy jednak nie tylko nam nic złego nie zrobili, ale jeszcze wydali deputaty dla nieobecnych Polaków. Do mojej relacji przyłączyła się jednak druga pasażerka wozu i powiedziała, że gdyby nie ja, to ona zostałaby rozstrzelana za to, że była grekokatoliczką, a za ocalenie pozostanie mi wdzięczna aż do śmierci.

Nie wspominam tu szerzej o wielu drobniejszych zleceniach mojego szefa z AK, Komendanta Miasta Włodzimierz Wołyński, magistra farmacji, Jana Kubalskiego, jakie w tym czasie wykonywałam. Było to najczęściej dostarczenie jakichś dokumentów lub przenoszenie broni pod wskazane adresy w mieście.

Tymczasem Ukraińcy bardziej się rozzuchwalali i podchodzili już pod samo miasto, my zaś mieszkaliśmy na przedmieściu zwanym Zarzecze, za rzeką Ługą. Pewnego rana usłyszałyśmy w domu zbliżającą się sadem naszych gospodarzy grupę Ukraińców, którzy byli głośni i buńczuczni. W domu byłyśmy akurat same kobiety, a jeszcze do tego mamusia chorowała. Ledwo ubrałyśmy mamę i pozostawiając cały dobytek opuściłyśmy w popłochu dom. Znalazłyśmy się właśnie na moście, kiedy ujrzałyśmy Ukraińców, jak otaczali nasz dom. Udało się nam ujść! Potem przy jakiejś okazji pani Balicka, żona naszego gospodarza mówiła, że ta grupa wypytywała się przede wszystkim o mnie.

Na jakiś czas przygarnął nas brat Jeremi, który gnieździł się w niewielkim mieszkaniu z żoną i półtorarocznym synkiem, Mariankiem. Potem nasz ojciec wynalazł opuszczone mieszkanie w śródmieściu, przy ul. Ułańskiej, niedaleko skąd mieszkał Jeremi i tam zdomowiliśmy się na dłużej.

Mój brat, Jeremi, ppor. rezerwy, "Sokół II" był początkowo oficerem broni we Włodzimierzu. Na tej funkcji mógł praktycznie wykorzystać także wiedzę wyniesioną z uniwersytetu i produkował wspólnie z "Grotem" (Komendant Miasta) materiały wybuchowe. Dzielnie pomagała im w tym, oprócz innych jeszcze akowców, także "Spokojna", moja młodsza siostra Barbara.



Siostra autorki, Basia "Spokojna", sporządza apteczne mikstury. 1943r.

Ona i brat pracowali w aptece, którą kierował właśnie "Grot". Bratu udało się także nawiązać ciche więzi z żołnierzem armii węgierskiej, której kontyngent stacjonował wspólnie z jakimś oddziałem niemieckim w koszarach 23 pp. we Włodzimierzu; żołnierz ów stał się, odpowiednio wynagradzany, dostawcą tak potrzebnych naszej partyzantce pistoletów i granatów. Brat przechowywał w domu dużo najrozmaitszych lekarstw i broni. W bochenkach chleba, często wymienianych, ukryte były pistolety, w mieszkaniu pod podłogą, w której widoczne były naderwane deski - karabiny i granaty; w drwalce pociski do moździerzy.

Wiedziałyśmy o tym i bałyśmy się, aby ktoś brata nie wydał, gdyż Gestapo często przeprowadzało rewizje w domach Polaków, nierzadko zakończone aresztowaniami. Nie ominęło to i nas. Zawitali najpierw do mieszkania brata, którego wzięli już wcześniej z apteki w czasie pracy. Podczas rewizji w jego mieszkaniu gestapowcy nie znaleźli na szczęście



Siostra autorki, Basia "Spokojna", sporządza apteczne mikstury. 1943r.

Pod okupacją niemiecką

żadnej broni, a to głównie dzięki przytomności umysłu naszej bratowej, Miry. Kiedy jeden z przeszukujących zwrócił uwagę na naderwaną deskę w podłodze, ona spokojnie wskazała na drugą, taką samą i oświadczyła, że deski nieco już zmurszały ze starości i trochę odstają. Wyjaśnienie to wydało się na tyle przekonujące, że gestapowcy nie zdecydowali się odrywać desek. W mieszkaniu odkryli jednak i zabrali zapasy lekarstw.

W tym samym dniu gestapowcy zjawili się także u nas. Przeprowadzona przez nich rewizja nie ujawniła żadnych kompromitujących materiałów. Przyszli oni konkretnie po starszą siostrę, Wiesławę. Nie było jej akurat w domu, kiedy zaś powracała, udało się Basi, mojej młodszej siostrze, w ostatniej chwili ją przestrzec. Wiesia nie weszła już do domu i zdołała ukryć się w mieszkaniu koleżanki, Zofii Koperowej, harcerki (niedawno zmarła w Warszawie). Gestapowcy długo czekali na przyście Wiesi do domu, a gdy nie doczekali się, kazali stawić się na Gestapo mnie zamiast niej, jeżeli ona nie zgłosi się do rana.

Następnego więc rana wysłuchałam Mszy Świętej i powędrowałam do Gestapo. Dyżurujący gestapowiec powiadomił telefonicznie kogoś zapewne ważniejszego o moim przybyciu; jak zrozumiałam powiedział, że jakaś idiotka sama zgłosiła się i zapytał, co ma ze mną zrobić. Po tej rozmowie zamknął mnie w bardzo oryginalnej celi, po prostu w środkowej z pięciu czynnych ubikacji, wyposażonej dodatkowo przy jednej ze ścian w ławkę, na której siedziałam w ciemnościach, zaduchu i smrodzie. Gorszych warunków nie można było sobie wymyślić i marzyłam choć o normalnej celi więziennej.

Na trzeci dzień skonfrontowali mnie z kobietą, która, o czym wiedziałam, współdziałała w konspiracji z Wiesią; podobno była to Żydówka. Na moje szczęście oświadczyła, że mnie nie zna. Udało się jej natomiast pokazać mi swoje uda, chyba aby usprawiedliwić się, że nie mogła znieść bólu: uda jej były czarnosine. Zrozumiałam. Wiedziałam, że

nie każdy mógł znieść nieludzkie tortury, jakich Niemcy nie szczędzili ludziom polskiej konspiracji.

W następnym, czwartym dniu mego samotnego siedzenia w ciemnościach i wyziewach zjawił się w ubikacji badający mnie gestapowiec. Usiadł on na ławce obok mnie i pobrzękiwał czymś niewidocznym dla mnie, co trzymał w rękach splecionych na plecach. Moja wyobraźnia podsuwała mi widoki jakichś przyrządów tortur i przez całe badanie nie mogłam o niczym innym myśleć. On zaś podpytywał mnie, czy nie należę do AK. Mówił, że jeżeli się przyznam i wskażę miejsce przebywania Wiesi, to będzie lepiej dla mnie i całej naszej rodziny. Wywnioskowałam z tego, że na razie nic na mnie nie mają, a nie wiedzą także, gdzie znajduje się Wiesia. Dopiero kiedy gestapowiec wychodził, zobaczyłam, że wymagowane przeze mnie przyrządy tortur, to nóż, widelec i łyżka od menażki. Cóż, gdyby chciał, mógłby torturować i tym.

Następne dni były trochę lżejsze, bo wyprowadzali mnie pod dozorem z ciemnicy do sprzątanego pomieszczenia Gestapo. Ale i tak byłam bardzo wdzięczna losowi i zaczęłam mieć nadzieję, że mnie wypuszczą. Tak też się stało.

Gdy po dziesięciu dniach przebywania w Gestapo powróciłam szczęśliwie do domu, usłyszałam sensacyjną wiadomość: nasi partyzanci wzięli do niewoli siedemdziesięciu żołnierzy niemieckich. Być może, zdarzenie to przyczyniło się do względnie łagodnego potraktowania na Gestapo także i mnie.

Sowieci, których partyzantka działała w pobliżu, zwrócili się do partyzantów polskich, ażeby im przekazać Niemców, na co się nasi jednak nie zgodzili. Być może jakimś trafem wieść o pertraktacjach na ich temat pomiędzy partyzantką sowiecką, a polską dotarła do jeńców niemieckich, gdyż ci usilnie prosili naszych, ażeby ich nie wydać w ręce "Ruskich". Był to niewątpliwie jakiś wyraz oceny moralnych, ludzkich postaw jednej i

drugiej partyzantki przez stronę trzecią, której w dniach zwycięstw daleko przecież było do zwyczajnej ludzkiej moralności.

Wiadomość o wzięciu jeńców szybko dotarła do władz niemieckich we Włodzimierzu. I oto Niemcy postanowili natychmiast iść na ugodę z naszymi partyzantami, ażeby wydobyć swoich z niewoli. Zwrócili się z tym do księdza Kobyleckiego, proboszcza z naszego kościoła farnego, aby skontaktował się on z partyzantami; obiecali, że za zwolnienie wszystkich jeńców zostaną wypuszczeni z włodzimierskiego więzienia wszyscy, którzy są tam aktualnie przetrzymywani. Dowództwo polskie wyraziło przez księdza zgodę na zamianę. Na tej podstawie ksiądz zawiadomił władze niemieckie, że jak tylko wyjdą na wolność wszyscy więźniowie, zostaną uwolnieni natychmiast także wszyscy jeńcy niemieccy. Otrzymał wtedy ksiądz od Niemców klucze, otwierał nimi osobiście cele i wypuszczał kolejno wszystkich więźniów. Wśród uwolnionych w ten sposób znalazł się także mój brat Jeremi. Całe to zdarzenie wykazuje, jak silną pozycję zajmowała na terenie Wołynia Armia Krajowa, jej 27 Dywizja.

Brat wrócił do domu, ale na bardzo krótko. Umył się, ogolił, pojadł, wyczałował żonę i kochanego synka i wspólnie z drugim akowcem, uwolnionym razem z nim, udał się do lasu, do partyzantki. Jako łączniczka właśnie ja dostałam zadanie zaprowadzenia tej dwójki do oddziału. Przemarsz odbył się bez specjalnych kłopotów. Na miejscu zaś, wśród innych partyzantów, przywitała Jeremiego nasza siostra, Wiesia, pseud. "Alberta", która, spalona po wpadce, została wkrótce wcielona do oddziału leśnego.

Tymczasem w mieszkaniu przy ul. Ułańskiej wiedliśmy ciężki żywot: nie było na czym spać ani jeść. Z naszych mebli, pozostawionych w czasie ucieczki z poprzedniego mieszkania, korzystali teraz Ukraińcy. Postanowiłam w tej sytuacji odzyskać choć część podstawowych naszych mebli, zagrabionych przez nich. Znowu los uśmiechnął się do mnie, gdyż

zgodził się dopomóc mi jeden z kolegów, u którego w domu kwaterowali oficerowie niemieccy. Zwrócił się on do nich o pomoc w mojej sprawie. Oni zaś uczynili to, co jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe; dali mi ciężarowy wóz i czterech żołnierzy do ochrony i pomocy w załadunku. Chcę dodać, że niektórzy Niemcy w czasie wielkiego wybuchu nienawiści Ukraińców do Polaków, znając ogrom bestialstw ukraińskich popełnionych na bezbronnych ludziach, nieraz chcieli nas wspomóc.

Tak znalazłam się w naszym starym mieszkaniu na Zarzeczcu. Co zastałam? W saloniku rozwalona otomana, z której w krótkim czasie uczyniono dwa, ze skrzyni i wierzchu, ponure, brudne wyra. Łóżka w sypialni zawalone niemiłosiernie wprost brudnymi betami. W stołowym, gdzie była biblioteczka, po całej podłodze wały się porozrzucane książki; także w kuchni leżał stos przygotowanych do spalenia, poszarpanych książek.

Polskie książki ... Tak niszczał zasób naszej najważniejszej więzi z kulturą, do której droga tam, na Kresach, wiodła przede wszystkim przez literaturę. Dość bogaty był to zasób, niezbędny przecież w rodzinie, z której dwie osoby właśnie studiowały, a książki wzbogacały wizję świata także pozostałych jej członków, gdyż zamiłowanie do czytania spłynęło w nas od rodziców, zwłaszcza od ojca. Jeżeli by pomnożyć wielkość naszej zniszczonej biblioteczki domowej przez setki tysięcy takich samych bibliotek, jakie z najróżniejszych przyczyn uległy zniszczeniu w polskich domach kresowych w tamtych latach - możnaby i w tej drodze oszacować siłę ciosów zadanych polskiej kulturze przez nienawistnych wrogów.

Ukraińska rodzina jeszcze na dodatek bezczelnie odgrażała mi się za to tylko, że ośmieliłam się żądać częściowo zwrotu zagrabionych przez nią naszych skromnych dóbr. Pazerność tych ludzi i ich tupet wydawały się niezmiernie, nieludzkie. Ja i moi jednak żyliśmy, podczas gdy inne polskie

rodziny w okolicznych wsiach płaciły ukraińskiej zaborczości i nienawiści krwawe żniwo.

Wybrałam tylko to, co wydawało mi się w naszej ówczesnej sytuacji najniezbędniejsze: sześć krzeseł, dwie nocne szafki, otomanę, dwa łóżka, niewielkie lustro, parę garnków i kilka nie rozbitych jeszcze talerzy. Udało mi się uratować też parę książek. Ukraińcy, choć mi się odgrażali, na polecenie Niemców wszystko jednak uładzili i odkurzyli, tak że mogłam to zabrać w jakim takim stanie. Jak widać, Ukraińcy mieli respekt tylko dla niemieckiego bata.

Te kilka odzyskanych mebli i zastawy umożliwiły nam w miarę normalne życie domowe. Coraz cięższe stawały się jednak kłopoty żywnościowe. Ojciec mój przez pewien okres w czasie okupacji niemieckiej pracował jako księgowy w jednym z majątków rolnych w okolicy Włodzimierza. Potem, od czasu, kiedy wszystkie okoliczne wsie objęło zagrożenie ze strony band ukraińskich szowinistów, ojciec nasz podjął pracę u rolnika - Polaka o nazwisku Smal, we wsi Komarówka nie opodal Włodzimierza, skąd przynosił do domu żywność: mąkę, chleb, ziemniaki i od czasu do czasu nawet kawałek mięsa lub słoniny. Zbierałyśmy też na polach kłosa zbóż, pozostałe po niezbyt starannym sprzęcie. Teraz te źródła pożywienia wygasły. Co tu dużo mówić, zagrażał nam głód, nie pierwszy zresztą raz. W tym ciężkim dla nas okresie przychodziły mi z pomocą koleżanki, harcerki, które miały jakieś możliwości. Oto Marysia Lechowicz, pracująca w rzeźni, przyniosła swojej drużynowej kilka razy niebrzydkie kawalki mięsa, a druhá Alina Sawicka, córka właściciela młyna dostarczyła nam worek dobrej mąki. W tamtych czasach prawdziwa przyjaźń mierzyła się także racjami żywnościowymi, jakimi wzajemnie wspomagali się przyjaciele. Nie zawsze legalnie w świetle ówczesnych zaborczych norm i zakazów.

Tymczasem gestapowiec, który uprzednio, gdy zostałam zatrzymana, prowadził w mojej sprawie śledztwo, nie dawał za wygraną. Parę razy wpadł do nas do domu z psem, który siadał na podłodze i od czasu do czasu wściekle na mnie powarkiwał, to też swoisty sposób dręczenia. Jego pan mówił zaś, że mi nie dowierza i pozostanę pod stałą obserwacją. Chodziło jednakże nie tylko o mnie, lecz może przede wszystkim o siostrę i brata, którzy szczęśliwie wyrwali się spod zagrażającego życiu nadzoru Gestapo i pozostawali nieuchwytni. To o nich chcieli się czegoś od nas dowiedzieć gestapowcy.

Zaczęło mi się palić pod stopami, osobiste zagrożenia nie zwalniały mnie jednak od zadań konspiracyjnych, które w tym czasie bardzo się nasiliły. Zaczęło po prostu brakować łączniczek. Killka moich "spalonych" koleżanek ratowało się, tak samo jak moja siostra Wiesia - "Alberta", przed gestapowskimi torturami, przejściem do partyzantki. Jedną z łączniczek, Zuzanna Łobanowska, ujęta przez Gestapo nikogo nie wydała, choć w czasie potwornego przesłuchania została zakatawana na śmierć. Umęczoną i wyczerpaną do ostatnich granic ludzkiej wytrzymałości długotrwałym biciem, siepacze wyrzucili na wewnętrzny dziedziniec więzienny, gdzie poszczuli na nią tresowane po gestapowsku psy i te dokończyły mord.

Gdy piszę o tym zdarzeniu, stają mi w pamięci losy harcerek z mojej gimnazjalnej, włodzimierskiej drużyny, które w różnych okolicznościach i czasie oddały życie za tę samą, jedyną polską sprawę:

Maria Seroczyńska, lat 18, sanitariuszka 27 Dywizji AK. W pierwszej połowie maja 1944r. w potyczce została wzięta do niewoli i rozstrzelana wraz z grupą partyzantów w lasach w pobliżu Kolonii Strzeleckiej. Została odznaczona pośmiertnie Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Irena Sierakowska, lat 18, łączniczka AK. Zginęła w Powstaniu Warszawskim na ul. Mazowieckiej.

Maria Sokołowska, lat 21. Zamordowana przez szowinistów ukraińskich w 1943r.

Wanda Szurowska, lat 18, sanitariuszka 27 Dywizji AK. Zginęła na podminowanym terenie w kwietniu 1944r, podczas przemieszczania się Dywizji w lasy Szackie.

Zofia Terpiłowska, lat 20. Zamordowana przez nacjonalistów ukraińskich w 1943r.

Wanda Zienkiewiczówna, lat 22, sanitariuszka 27 Dywizji AK. Wzięta do niewoli niemieckiej w kwietniu 1944r., razem z personelem i rannymi szpitala polowego. Buntując się przeciwko bestialskiemu traktowaniu rannych przez Niemców, zastrzeliła niemieckiego dowódcę z jego własnego pistoletu. Po skatowaniu została tego samego dnia rozstrzelana.

Tymczasem we Włodzimierzu nieustannie włączały się w nurt łączności konspiracyjnej nowe dziewczęta, chętne do pracy w stałym, najwyższym niebezpieczeństwie. Mnie zaś, bardziej dojrzałej, już doświadczonej łączniczce, powierzał "Grot" coraz poważniejsze zadania. Niżej wspominał dwa z nich. Pierwsze musiało być akurat bardzo pilne, a nie było zapewne "pod ręką" wolnych łączniczek, jeżeli zdecydowano się zlecić je mnie, choć znajdowałam się właśnie pod wzmożonym nadzorem Gestapo.

Oddziały leśne naszej 27 Dywizji wymagały stałych dostaw najróżnorodniejszych rzeczy. Polecenie dla mnie brzmiało: przewieźć wozem "trefny" partyzancki towar z Włodzimierza do miejsca postoju najbliższego z naszych oddziałów, jaki znajdował się w odległości około 10 km. Końmi powoził partyzant - osiemnastolatek, jak się okazało, bez żadnych dokumentów. Partyzancki towar stanowiły tym razem karabiny ukryte w podwójnym dnie wozu, zbitym z desek, worki z bagnietami włożone w siedzenia oraz lekko przykryte słomą, woreczek z orzełkami na partyzanckie czapki, granaty, skóra na zelówki i buty, białe i czerwone płótno na chorągwie i opaski.

Wyruszyłam. Na wylotowych ulicach miasta zawsze stały niemieckie warty. Ich zadanie polegało na kontroli wszystkiego, co się porusza, co wchodzi lub wjeżdża do miasta lub go opuszcza, zwłaszcza zaś na kierunkach "partyzanckich", łączących Włodzimierz z okolicznymi terenami leśnymi. Jadąc wozem nie istniała możliwość ominięcia tych punktów, gdyż sieć kontroli osaczała całe miasto. Dojechałam do takiego punktu wozem, o jakim miałam mówić, że jest mój, z powożącym nim osiemnastolatkiem, o którym miałam mówić, że jest moim furmanem. Nie zastanawiałam się, że przecież nie umiałam wytłumaczyć się ni z celu podróży, ni z wozu, ni z woźnicy, ni z towaru! W momencie, gdy podjeżdżaliśmy, stał przed nami wóz załadowany drewnem, a Niemiec polecił właśnie tamtemu woźnicy wyładowywać jedną po drugiej szczapę, ażeby dokładnie sprawdzić, czy coś nie zostało pod drewnem ukryte. Ze mną nie miałby Niemiec żadnego kłopotu, bo wystarczyło tylko zajrzeć do jednego z worków.

Wkrótce, choć tamten woźnica nie zakończył jeszcze wyładunku, Niemiec podszedł do nas. Coś mi załopotало w sercu. Opanowałam jednak strach i odezwałam się do niego pierwsza. "*Sehr kalt*" - stwierdziłam. Odpowiedział zapytaniem: "*Haben Sie Speck?*" Pytanie to natychmiast wniosło w moje łomocące serce spokój. "Specku" nie miałam, ale miałam na rozgrzewkę coś lepszego: litr aptekarskiego spirytusu. Skwapliwie wyciągnęłam do Niemca rękę z pojemną butelką. "*Das wird bessr. Rhein Spiritus!*" Rozradowała mu się twarz. Wziął butelkę, władcym machnięciem dłoni zwolnił mnie z kontroli i zezwolił jechać dalej. I znowu ominęła mnie ciężka wpadka, jaka stale nade mną wisiała.

Droga prowadziła przez spalone, zrujnowane i opuszczone wsie, gdzie chętnie grasowały ukraińskie bandy. Do pierwszego posterunku naszej partyzantki dojechaliśmy jednak szczęśliwie. Potem już zapomniałam o trudach, strachach i niebezpieczeństwach drogi. Sprawily to widok żołnierzy w polskich mundurach, głośno śpiewane polskie piosenki i niepowtarzalna

atmosfera leśnego obozu odważnych ludzi dla których warto było pracować. Było mi jednak przykro, gdyż nie spotkałam się tu z Jeremim i Wiesią. Ponad to znajdowali się oni zbyt daleko, abym mogła się tam dostać. Wczesnym rankiem wyruszyłam w drogę powrotną. Powieziono mnie do pierwszej czujki partyzanckiej, dalej zaś ruszyłam pieszo. Ku radości bliskich w ciągu dnia wróciłam w zdrowiu do domu.

W parę dni później polecił mi "Grot" przenieść pociski do moździerzy z jednego końca miasta w drugi, ponad trzy kilometry. Trzy pełne pasy pocisków, choć niedużego kalibru w połowie drogi okazały się ładunkiem ponad moje możliwości. Wtem z naprzeciwka nadeszło dwóch niemieckich wojskowych, którzy z miejsca zainteresowali się moim wyglądem i zapytali, co tak ciężkiego niosę. Ich widok sprawił, że zdołałam przezwyciężyć słabość i z uśmiechem palnęłam: "Gold". Do dzisiaj sędzę, że domyślali się co mieści się w tej ciężkiej torbie. Jeden z nich, zapewne starszy rangą, machnął jednak przyzwalająco ręką i mogłam iść dalej. Był to już czas, kiedy Niemcy pod naporem wojennych zdarzeń przemyśleli już wycofać się z Wołynia.

Po kilku krokach znowu nastąpił u mnie kolejny atak zmęczenia. Obejrzałam się dyskretnie: Niemcy patrzyli za mną. Zmusiłam się jeszcze raz do wysiłku i przyspieszyłam kroku. Już nie oglądając się dotarłam na miejsce.

W tym samym dniu "Grot" polecił mi opuścić Włodzimierz w związku ze wzrastającym zainteresowaniem moją osobą ze strony Gestapo. Nie skierował mnie do lasu jednak, nie do partyzantki, lecz do Lublina. Widocznie zakładając określony rozwój zdarzeń wojennych. Moi przełożeni przygotowywali łączność na nowym terenie. Sposobiłam się więc do opuszczenia Wołynia. Wyjechałam z ciężkim sercem w marcu 1944r. Byłam pełna obaw. Może nie będę mogła tu już powrócić? Los kresowiaków, los Polski sprawił, że do dzisiaj nie powróciłam.

Wybrałam się wspólnie ze swoją bratową, Mirą i jej synkiem Marianem do Milejowa pod Lublinem, do rodziny bratowej. We Włodzimierzu pozostawiłam najbliższą rodzinę. W domu matulę, ojca i Basię, w oddziałach partyzanckich Wiesię i Jeremiego. Na przetarciu drogi przez zieloną granicę "Grot" wręczył mi dwie złote pięćiorublówki. Jakże się przydały! Dogadałyśmy się z niemieckimi żołnierzami, którzy zgodzili się zabrać nas przez granicę do "GG" samochodem. Był to dość przestronny pojazd wojskowy, kryty plandeką, pod którą swobodnie zmieściliśmy się we trójkę ze skromnym bagażem, jaki zdecydowała się zabrać Mira. Wszystko to sprawiła magiczna moc dwóch złotych pięćiorublówek. Po różnych przygodach znaleźliśmy się wreszcie u rodziny w Milejowie.

Na tym mogłabym po prawdzie zakończyć swoje wspomnienia o Włodzimierzu i Wołyniu. Historia tamtego skrawka Rzeczypospolitej trwała jednak nadal, choć wraz z wieloma ludźmi przeniosła się w jakiś fragmentach na Lubelszczyznę i na inne także połacie kraju. Oddziały 27 Wołyńskiej Dywizji AK atakowane ze wszystkich stron, rozbijane i skupiające się na nowo, przemieszczały się w bojach na Polesie i Lubelszczyznę. Do Lublina przeniosły się częściowo ośrodki sterujące zaopatrzeniem, ruchami i walkami Dywizji. Także ja, kursując między Lublinem a Warszawą, kontynuowałam swoje kurierskie zadania dla Wołyńskiej AK, nota bene w dalszym ciągu pod zwierzchnictwem "Grot", który w tym czasie także opuścił Włodzimierz. We Włodzimierzu pozostawała jednak nadal moja rodzina.

Jak już wspomniałam, moja siostra Basia, "Spokojna", w okresie okupacji niemieckiej pracowała w aptece, którą kierował mgr Jan Kubalski, w konspiracji Komendant Miasta, pseudonim "Grot", bezpośredni szef zarówno mój jak i "Spokojnej". "Grot" otoczył się w aptece gronem pracownic, Polek, które wszystkie działały w konspiracji. Nazwiska tylko

niektórych z nich zapamiętałam do dziś: Helena Babulska, Helena Kubalska (siostra "Grota"), Stefania Kwiecińska.



Kierownik apteki, mgr Jan Kubalski, jednocześnie Komendant Miasta, pośród grona zatrudnionych w aptece pań. Na pierwszym planie, pośrodku Basia "Spokojna". 2 października 1943r.

Mimo, że wykonywałyśmy z Basią w tym czasie podobne funkcje, nasze konspiracyjne drogi nigdy się nie przecinały. Dopiero po wojnie dowiedziałam się od "Grota", jak liczne i odpowiedzialne zadania powierzał "Spokojnej". W godzinach pracy w aptece znajdowała się ona jako łączniczka zawsze "pod ręką" i ona właśnie najczęściej przenosiła konspiracyjną dokumentację, opatrunki, leki i liczne inne rzeczy, bez jakich trudno prowadzić podziemną działalność. Równoległym jej zadaniem było przygotowanie pod okiem "Grota" i "Sokoła II" (tj. brata Jeremiego - do czasu jego aresztowania i przejścia następnie do partyzantki) najróżniejszych mieszanin chemicznych, z których powstawały "konspiracyjne" materiały wybuchowe.

Ku PRL-owi

Po wyjeździe z Włodzimierza "Grot" wręczył mi skierowanie na wojskowy kurs w Warszawie. Czym prędzej więc opuściłam Milejów, pozostawiając tu Mirę z synkiem i udałam się do Warszawy. Był marzec 1944r. W Warszawie ukończyłam wojskowy kurs oświatowy. Tu też po raz pierwszy tak jasno uświadomiłam sobie, jak szeroką i wszechstronną działalność rozwija podziemne Państwo Polskie.

W następnym etapie wykonywałam zadania kurierskie na trasie Warszawa - Lublin. Trasę tę przebyłam kilkakrotnie. W Warszawie niełatwo było mieszkać bez meldunku. Na szczęście miałam tu sporą rodzinę i mogłam od czasu do czasu tu i tam się zatrzymać, wędrując od ciotki do ciotki. W czasie tego wędrowania odnalazłam siostrę ojca, Eugenię Felic. Ciotka okazała się nieoceniona i zaofiarowała mi mieszkanie na stałe, a kiedy z kolei przez rodzinę w Lublinie, udało się załatwić "Kennkartę" także zameldowała mnie u siebie. Wkrótce odnowiła też pięknie pokój. Zameldowana i wcale nieźle urządzona mogłam się teraz spokojniej poruszać po Warszawie i "GG".

W Lublinie mieszkała rodzina mojego stryjka, Konstantego Witkowskiego. Sam stryjek nie przebywał w tym czasie w domu, działając w AK na Zamojszczyźnie. Miałam się tu gdzie zatrzymywać, co zdecydowanie ułatwiało moją pracę kurierską. Jedną z moich ciotecznych siostr, Halina, zajmowała się handlem. Przewoziła z Warszawy do Lublina zawsze tylko jeden towar - nici. Jej zajęcie okazało się pomocne i dla mnie i wnet przystąpiłam z nią do spółki. Chcę wyjaśnić, że w czasie okupacji niemieckiej we Włodzimierzu utrzymywałam się z własnej pracy, teraz natomiast otrzymywałam od "Grot" skromną miesięczną kwotę 1000zł., przeznaczoną na przejazdy i inne wydatki. Nie wystarczało to jednak na utrzymanie. W tej sytuacji udział w drobnej "szmuglerskiej" działalności

siostry stał się dla mnie źródłem dochodu z jakiego mogłam się utrzymać, tym bardziej że zyskiem dzieliłyśmy się skrupulatnie po połowie.

Jedna z moich podróży zasługuje na opisanie. Przewoziłam tym razem w walizce o podwójnym dnie, krótką broń i kilka gotowych "Kennkart" (bez wpisanych nazwisk). Na trasie zawsze wsiadali żandarmi i kontrolowali wybrane przez siebie paczki i walizki. Penetracja ta trwała trzy kolejne odcinki jazdy pociągu osobowego. W naszym przedziale Niemcy upatrzyli sobie akurat nasze dwie walizki, pomimo że nie stały obok siebie. Powiedziałam Halinie, ażeby pokazała najpierw swoją. Początkowo nie chciała gdyż miała w niej więcej nici, kiedy jednak zdecydowanie powtórnie tego od niej zażądałam, zdjęła walizkę i podała Niemcowi. Przeglądając zawartość Niemiec wściekł się, gdy ujrzął pełno szpul nici z podrobioną nazwą niemieckiej firmy "Gutermann". Wziął też jej "Kennkartę" i trzymając dokument w jednej dłoni, drugą wyrzucał wszystko po kolei z walizki. Tymczasem i ja zdjęłam walizkę i postawiłam u stóp, równocześnie intensywnie poszukując w myślach jakiegoś sposobu wyrwania się z tej wsypy. Rozwiązanie przyszło jakby samo. W korytarzu obok stał młody mężczyzna, który podszedł do mnie. Z mojego zachowania musiał on wyczuć, że w mojej walizce znajduje się rzeczywiście niebezpieczny "towar", gdyż uniósł ją nagle i zniknął. W tym czasie Niemiec zażądał ponownie mojej walizki. Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż raptem usłyszałam donośny sygnał odjazdu pociągu. Okazało się, że był to przystanek, na którym wyznaczono żandarmom koniec akcji kontrolnej. Nie mieściło się w uporządkowanej życiem według rozkazów żandarmskiej głowie, ażeby sprawdzanie przedłużyć o jeszcze jeden odcinek jazdy. Wściekły Niemiec oddał jednak siostrze "Kennkartę" i wyskoczył z ruszającego już pociągu.

Po wyjściu Niemca ów nieznajomy przyniósł mi walizkę i bez słowa postawił na tym samym miejscu, ponieważ zaś chciałam ją położyć na półce, pomógł mi ją tam ulokować. Gorąco mu podziękowałam a on

natychmiast odszedł. Nigdy więcej go nie widziałam. Były to czasy, kiedy Polacy wzajemnie sobie pomagali, nieraz nie licząc się z własnym bezpieczeństwem.

Kiedy wysiadłyśmy w Lublinie, Hala zapragnęła natychmiast iść na targowisko i od ręki zbyć nici, przez które wpadła w pociąg w tarapaty. Moja cioteczna siostra nie miała więzi z żadną organizacją i starała się trzymać od wszystkiego z daleka. Nic też nie wiedziała, że coś poza niemi przewoziłam w walizce. Nie mogłam jej o tym powiedzieć, gdyż ze zrozumiałych względów obowiązywała mnie ścisła tajemnica, tak ważna wówczas w pracy konspiracyjnej. Z drugiej zaś strony powinnam natychmiast po szczęśliwym wyjściu z pociągu skierować się pod dany mi w Warszawie adres i doręczyć tam konspiracyjny towar. Tak powstał niełatwy dylemat, gdyż żadne z dwóch możliwych moich rozstrzygnięć nie mogło być zgodne z zasadami konspiracji. Zdecydowałam się iść z Halą na targowisko. Tu zaś znowu niespodzianka. Kiedy znalazłyśmy się na rynku, otoczyli targowisko Niemcy. Zaczął się popłoch, tumult, biegania. Zdołałyśmy jednak umknąć bocznym wyjściem, jedynym jeszcze nie obstawionym, który wskazał nam jakiś handlarz. Udało się. Swoją konspiracyjny towar też szczęśliwie dostarczyłam na miejsce. Ponieważ operacja "handlowa" powiodła się, wracałam do Warszawy bogatsza o trochę zarobionego grosza.

W pierwszych dniach czerwca tego roku wyjechały z Włodzimierza moja matka i siostra Basia. Jedynie ojciec pozostał tam nadal, gdyż "nie chciał tułać się po cudzych kątach".

Basi - "Spokojnej", kiedy wyjeżdżała z Włodzimierza, powierzono jeszcze zadanie przewiezienia do Hrubieszowa, któredy wiodła jej trasa, trzech młodych akowców, którzy nie posiadali żadnych dokumentów. Tak się szczęśliwie złożyło, że nasza koleżanka o nazwisku Próchniewicz (imienia już nie pamiętam) przenosiła się w tym gorącym okresie legalnie

(opłaciła zgodę Niemców) ze swoją babcią i żywym inwentarzem (dwie krowy, kilka kur, dwie gęsi) do Milejowa koło Lublina, gdzie i ona miała jakąś rodzinę. Przewóz odbywał się koleją, wynajętym wagonem towarowym. Za zgodą koleżanki trzej młodzi partyzanci ukryli się w słomie w towarzystwie krów i tak odbywali podróż.

Raz jeden pokazał się w wagonie żołnierz niemiecki, był jednak na tyle pijany, że nie mógł niczego zauważyć. Siadł on na podłodze w otwartych wrotach wagonu. Pasażerki wagonu drżały teraz o życie Niemca. Gdyby bowiem wypadł z pociągu, one zostały by niewątpliwie oskarżone o to, że go celowo wypchnęły. Na szczęście na pierwszym przystanku spitego niemal do nieprzytomności kolegę zabrali do siebie inni żołnierze. Kiedy pociąg dojeżdżał do Hrubieszowa, nasi partyzanci wyskoczyli i "Spokojna" mogła potem zameldować, że zadanie wykonała.

Tymczasem ja nadal jeździłam z zadaniami kurierskimi. Kiedy raz pozwolił mi na to czas, zajrzałam do rodziny w Milejowie, a tam zastałam mamę i Basię. Moją wielką radość mąciła tylko postawa taty, który na przekór wszystkiemu nie chciał opuścić Włodzimierza. Po nader krótkiej przerwie w swoich wojennych zajęciach musiałam wnet powrócić do Lublina, gdzie otrzymałam dokumenty do przekazania w Warszawie w stałym moim punkcie kontaktowym przy ul. Sadowej. Skorzystałam z okazji i zabrałam ze sobą do Warszawy mamę i Basię.

Dworzec kolejowy w Lublinie, ledwo się na nim znalazłyśmy, został otoczony przez Niemców, którzy ustawili wszystkich znajdujących się tu mężczyzn pod ścianą, kobiety natomiast spędzili w jedną gromadę. Kiedy Niemcy przystąpili do szczegółowej rewizji ludzi, z pomocą przyszła mi moja Basia. Jest ona niska. Dałam jej pudełko z kilkoma zapalnikami na wierzchu z ukrytą w nim bibułą, na której znajdował się tekst. Zasłoniłam sobą Basię, ona zaś wsunęła pudełeczko przez sztachety tuż za płot, przy którym nas ścieśniono. Niemcy zaś po zrewidowaniu co niektórych, jak

nagle wpadli na dworzec, tak i odeszli, niestety z dwoma zatrzymanymi młodymi mężczyznami. Nim wsiadłyśmy do pociągu, który już, już odjeżdżał, zdołałam jeszcze podjąć ukryte zapalczane pudełko.

W pierwszych dniach lipca 1944r. otrzymałam polecenie kolejnego wyjazdu do Lublina. Tym razem miałam tu otrzymać dokładną trasę dotarcia do naszej partyzantki, 27 Dywizji AK. Większość oddziałów znajdowała się wówczas w okolicach Lubartowa. Następnie miałam doprowadzić w ten rejon trzech lekarzy. W Lublinie dowiedziałam się, że na razie nie ma możliwości dotarcia do naszych oddziałów. Polecono mi czekać. Czekałam więc, czekali także trzej lekarze. W tym czasie zaprzyjaźniliśmy się i od czasu do czasu spotykali.

W lipcu odnalazł mnie w Lublinie ojciec. Wojna zmusiła go jednak do opuszczenia kochanego miasta. Wędrował w pojedynkę, większość drogi odbył pieszo. Zjawił się tak zakurzony i wychudzony, że długo doprowadzałyśmy go do jako takiego stanu. Miał wówczas 63 lata. Wkrótce wyprawiłam go do Warszawy, dokąd dotarł na kilka dni przed powstaniem. W czasie powstania pospołu z młodymi, ojciec mój przenosił kanałami broń i amunicję. Wcześniej także nie stał z boku, choć można było w rodzinie odnieść takie wrażenie, bardzo się bowiem krył, nawet wobec nas, ze swoim udziałem w walce na jednym z najtrudniejszych odcinków - w wywiadzie.

Tymczasem Niemcy uciekali w popłochu. Moje oczekiwanie przeciągało się. Na początku trzeciej dekady lipca wkroczyło do Lublina wojsko sowieckie, a z nim polskie. Rozpacz mnie ogarniała, kiedy patrzyłam na rozradowane tłumy rodaków, witających kwiatami z równą szczęśliwością tak oddziały polskie, jak i sowieckie. Nieszczęśni, nie znali jeszcze Sowietów i tych, którzy spośród Polaków zgodzili się im nadgorliwie służyć. Żał mi było tych wszystkich naszych żołnierzyków, którzy w imię komunistycznej idei wspierali sowiecki imperializm.

Usiłowałam przedstawiać wiwatującym ludziom prawdę o ZSRR i systemie jaki ze sobą niosła jego armia. Na nic się zdały moje próby. Wprost przeciwnie, musiałam uchodzić, ażeby nie zostać przez co bardziej krewnich, do reszty znieważona, czy może nawet zlinczowana.

Do Warszawy nie zdołałam już powrócić i byłam zmuszona pozostać w Lublinie. W tamtych dniach dowiedziałam się od "Grot", że zginął mój brat, Jeremi, podporucznik "Sokół II". Kiedy po wymianie więźniów z więzienia we Włodzimierzu na jeńców niemieckich znalazł się on w naszej partyzantce, został dowódcą kompanii w II batalionie 23 pp 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej. Poległ w Lasach Szackich 19 maja 1944r. Osierocił półtorarocznego synka Marianka.



Brat autorki, Jeremi Witkowski, podporucznik "Sokół II". Zdjęcie z roku 1938.

Na uprzątniętym na prędcie terenie pohitlerowskiego obozu koncentracyjnego na Majdanku nowe władze stworzyły tymczasem miejsce przetrzymywania rozbrojonych uprzednio żołnierzy Armii Krajowej. Było to jedno z pierwszych poczynań nowych rządów, którzy uważali AK za armię wroga wobec ZSRR i nowej prosowieckiej Polski. Obóz szybko się zappełniał. Powszechnie wśród akowców panowało przeświadczenie, że rozbijanie naszych oddziałów partyzanckich i przymusowe osadzanie



Brat autorki, Jeremi Witkowski, podporucznik "Sokół II". Zdjęcie z roku 1938.

żołnierzy w obozie miało na celu przede wszystkim uniemożliwienie pójścia na pomoc powstańczej Warszawie.

Na Majdanku zostali osadzeni także trzej "moi" lekarze. Do czasu, kiedy, o czym dalej, i moje życie skomplikowało się, utrzymywałam z nimi kontakt i dostarczałam im przez druty żywność, a także inne potrzebne rzeczy.

W tym czasie zaczęli przybywać do Lublina rozbrojeni przez Sowieców partyzanci mojej macierzystej, 27 Wołyńskiej Dywizji AK. Byli to ludzie bezdomni. Ich domostwa pozostały na Wołyniu. Byli niedożywieni i zabiedzeni, psychicznie zmaltretowani przez "sojuszników" i ich polskich popleczników. Większość partyzantów udało się umieścić w gmachu gimnazjum przy ul. Narutowicza. Gmach ten stał się na jakiś czas swoistą naszą ostoją. Uczestniczyłam teraz z innymi przybyłymi do Lublina koleżankami z Włodzimierza i z innych miast Wołynia, w zabiegach i pracach zapewniających jako takie wyżywienie i opiekę dla naszych partyzantów. Walnie wspomagały nas w tym dziele także Lublinianki. Wśród innych przybyła do Lublina także moja siostra Wiesia, "Alberta". Także i ona wnet włączyła się do naszych opiekuńczych zajęć.



Siostra autorki, Wiesława Witkowska, "Alberta". Rok 1943.

"Alberta" po przejściu do lasu służyła w oddziale łączności i przeszła cały trudny szlak bojowy Dywizji - z okolic Bielina na Wołyniu aż po Lasy Lubartowskie, gdzie 27 Dywizja została rozbrojona i rozwiązana. Wiesia była inwalidką wojenną, kilkakrotnie odznaczona. Dziś już nie żyje.

Tymczasem w tamtych dniach wspólnie opłakiwałam śmierć brata. Tuż przed naprędkim, partyzanckim pogrzebem w lesie Wiesia zauważyła, że Jeremi był bosy. W czasie działań partyzanckich nierzadkie były wypadki, że poległemu zabierano buty, gdyż, jak się zwykło mówić, bardziej były potrzebne żywemu, który jeszcze walczył. Wbrew temu Wiesia zdjęła swoje strudzone, przyduże buty i założyła je na nogi poległego brata. Był to nader rzadki zapewne, jeżeli nie wręcz jedyny, w czasie tej strasznej wojny czyn, tak zdecydowanie odmienny od żalosnej, wojennej pospolitości.

24-owci



Siostra autorki, Wiesława Witkowska, "Alberta". Rok 1943.

Jak już wcześniej wspomniałam, w Lublinie znalazłam locum u stryjostwa. Jednego dnia zjawił się w swoim mieszkaniu stryjek. Konstanty Witkowski, który pod pseudonimem "Miller" działał w AK, w partyzanckiej kadrze dowódczej na Zamojszczyźnie. Wraz z nim wkroczył do mieszkania sowiecki pułkownik. Pod zdecydowanym naciskiem tego oficera stryjek napisał rozkaz do oddziału, którym dowodził żądając stawienia się wszystkich w wyznaczonym miejscu i czasie. Dobrze znał stryjek zagrywki Sowietów i był w pełni świadomy tego, co taki rozkaz wywoła. Już wcześniej przemyślał jednak plan kontrakcji. Wyprowadzając w pole pilnującego go nieustannie oficera, zdołał napisać potajemnie drugi rozkaz, komentujący sytuację i odwołujący ten poprzedni, z nakazem koncentracji oddziału. Właśnie ja doręczyłam kopertę a tym rozkazem pod adres, jaki wskazał mi stryjek. Przechytrzył tym razem Sowietów, gdyż na wyznaczonym miejscu, pilnowanym przez wrzące wojsko, nikt się nie zjawił. Odpowiedź sowieckiego pułkownika była prosta. Stryjek znalazł się w celi na Zamku Lubelskim. Jego dalszy los stał się gehenną, przez jaką przeszedł niejeden polski patriota. Stryj został skazany na karę śmierci, wyroku jednak nie wykonano, między innymi ze względu na zdrowie stryja, złamane bestialskimi przesłuchaniami. Trafiał do szpitala psychiatrycznego, gdzie dość długo przebywał.

Tymczasem 28 września 1944r. (dobrze tę datę pamiętam) otrzymałam polecenie skontaktowania się nazajutrz z łączniczką, która przybyła do Lublina z prawobrzeżnej Warszawy. Gdy pod wskazanym adresem zadzwoniłam do mieszkania, ku mojej radości drzwi otworzył mi kapitan w polskim mundurze. Radość trwała krótko, gdyż mój, zdawać się by mogło, polski oficer mówił jedynie po rosyjsku. Osobnik ten wyszarpnął mi torebkę i zaraz pchnął w kierunku drzwi do pokoju. A w pokoju zastałam już liczne grono, około 20 osób, zatrzymanych, pod ścianą stół pełen broni, a moja "Dzidzia", bo taki był pseudonim mojej łączniczki, patrzyła na mnie

smutnymi oczami. W mieszkaniu tym trzymali nas do wieczora. Po mnie doszły jeszcze dwie osoby. Wieczorem przeniesiono nas do jakiegoś gmachu na ul. Marii Skłodowskiej-Curie. Po wstępnych przesłuchaniach "Dzidzia" i ja dostałyśmy, każda osobno, jakieś pomieszczenie biurowe ze stołem, na którym można się było przespać. Następnego dnia przetransportowano nas na Zamek Lubelski.

Swoich przeżyć z Zamku nie opisuję. Nadmieniam jednak, że w czasie badań nie przyznałam się do swojej działalności w AK i dlatego zapewne nieco lżej przebiegały przesłuchania. Jedynie oficer NKWD chciał wykorzystać znaleziony przy mnie paszport sowiecki, gdyż takie otrzymywaliśmy wszyscy w czasie pobytu Sowietów na Wołtyniu i straszyl mnie, że zakwalifikuje moją sprawę jako zdradę ZSRR.

Po wyjściu z więzienia podjęłam pracę w Biurze Planowania i Odbudowy przy Prezydium Rady Ministrów (zresztą dzięki grypsowi, jaki wyniosłam z więzienia). Wkrótce Biuro to zostało przeniesione do Warszawy.

Po raz drugi zostałam aresztowana już w Warszawie, nomen omen, 9 maja 1945r., a zatem w dniu kiedy świat świętował zwycięstwo nad Niemcami. W dniu tym udałam się do mieszkania "Grot", byłego Komendanta Miasta we Włodzimierzu, aby otrzymać obiecane lekarstwo dla ciężko wówczas chorej mojej matki. W mieszkaniu tym kolejny raz wpadłam w "kocioł", jaki w tych czasach bezpieczeństwa często zastawiała w mieszkaniach akowców.

Tym razem trzymano mnie na Rakowieckiej w Warszawie. Byłam sama w pojedynczej celi, skąd wyprowadzano mnie jedynie na nocne badania. Otrzymywałam na wszystkie potrzeby jedną szklanke wody na dobę. Spałam na łożu z żelaznej kraty, niczym nie okrytej, tak że po wyjściu z więzienia miałam kratę odbitą na plecach. Zwolniono mnie po dwóch miesiącach na podstawie amnestii.

Wręczono mi wówczas ulotkę "Zwolnionym do wiadomości". Jest to znamieny dokument z tamtych czasów. Tym ulotkowym stękiem bzdur, oszczerstw i potwarzy zaprzędane Sowietom "polskie" władze częstowały nas, którzy Polsce oddaliśmy całe nasze życie.

Oni to i dzisiaj jeszcze organizują w Polsce bandy dywersyjne, mordują funkcjonariuszy państwowych, działaczy demokratycznych, grabią chłopów, robują i męczą młode państwo — aby mieć smęć i anarchię, aby utrudniać pracę nad odbudową kraju.

Taka jest naga prawda i śród oszusta agiacyjne prawdy tej nie zabłądź. Ci agenci hitlerysty z Narodzie Polakim, winowajcy książki wrzniętej Polaki, aby zaprząć Was do tej swojej zbrodniczej roboty, oszukańczo deklamowali Wam, że walczą o Polskę. A w rzeczywistości nie o Polskę im szło, ale o naruszenie władzy reakcyjnej w Polsce, o uratowanie swoich dworów i pałaców, o pokłócenie Narodu Polskiego ze Związkiem Radzieckim, o organizowanie nowej wojny. Cięrciście za to, że daliśmy wiarę i połuch tej zbrodniczej propagandzie, że to, że w ten lub inny sposób, podnośiście rękę na Polskę.

Wbrew tym skądinąd i zbrodniarzom ugruntuwały się żeby Niepodległej i Suwerennej Polaki, wbrew nim powraca Polaka na swoje stare, bogate ziemie pianotawie po Odrę i Niszę i nad Baltyk, wbrew nim otrząsnął chłop polski stęmię obszarzyć, wbrew nim Naród Polaki usanie znaczenia spowodowane wojną i okupacją i doprowadzi Polak do rozkwitu. Demokratyczna Polaka nie chce i nie będzie utrudniać nawet tym obywatelom, którzy będą mogli powrócić na słuszną drogę. Wyraz temu stanowisku dał Iład Tymczasowy przez wypowiedź Premiera Odhiki-Morawskiego i Vice-premiera Wł. Comółki-Wiesława na Zjeździe Chłopskim w Warszawie. Powiedzieli oni: "...Iład Tymczasowy nigdy nie odnosił się i nie odnosi się wrogo do tych członków A. K. i innych ugrupowań, którzy szczerze zadeklarowali lub deklarują się w pracy dla Państwa" (Odhika-Morawski). "...W demokratycznej Polsce jest miejsce dla wszystkich obywateli, którzy chcą ją budować... droga jest otwarta do każdej pracy i każdego stanowiska w odrodzonej Ojczyźnie... Mówimy to kładem, bez względu na to, czy wyczołaj, jeszcze należał do grupy londyńskiego Stowicwa Ludowego, czy do grupy "Woli ludu", czy kierowany "chłopską walką" z "Niemcami" w "wypoczętym" Polaki-ambony-terregach-Armii Ludowej lub Batalionów Chłopskich, czy też trafił do Armii Krajowej" (Comółka-Wiesław).

Kierując się tymi wytycznymi polityki Rządu — wzywam Was: zerwijcie z wrogami ludu. Stawajcie w szeregi budowniczych Niepodległej Polaki Demokratycznej.

Powiedzcie wszystkim, którzy dołąd błędą i łuchają podseptów wataków N. S. Z. i A. K. — niech póki czas serw z nimi, dobrowolnie zgłoszą się do władz, zdadzą, wstąpią im broń przez wrogów narodu, wyjdą z konsplracji, zaprzestaną haniebnego walegania się po lasach i uprawiania bandyżyzmu przeciw własnemu Narodowi i Państwu.

Kto to uczyni, będzie miał zapewnione bezpieczeństwo i wolność. Kto jednak będzie dęło warcholit, uprawiał bandyżyzm i przaskadał Narodowi naszemu w spokojnej i ciężkiej pracy nad odbudową Polaki, ten będzie bezlitośnie zmiądzony siłą.

W-wa, 1 czerwca 1945 r.

MINISTER
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
(—) Stanisław Radkiewicz

Zwolnionym — do wiadomości

Z krwi i walki całego narodu polskiego — dzięki zwycięstwu odniesionemu nad Niemcami — wszystkim wszystkim sprzymierzonymi narodów — odrodziła się Wólna i Niepodległa Polaka. Straszliwa wojna jest już poza nami. Nastal upragniony pokój i okres zaleczenia ciężkich ran wojennych.

W tym nowym okresie Władze Rzeczypospolitej postanowiły umożliwić powrót do swoich rodzin i do pracy zawodowej tym, którzy w okresie wojny odrodzonej Polaki z Niemcami, posiadając pod wpływem kłamliwej propagandy hitlerysty i jego agentów, działali na szkodę Polaki i całego narodu, a teraz zrywają z tymi skądinąd.

Zgodnie ze stanowiskiem Rządu Tymczasowego, zostaje zwolnieni z więzienia, Władze Rzeczypospolitej dają Wam możność naprawić własną pracę, przy odbudowie Polaki to sło, które wyprzedziło Ojczyznę wówczas, gdy krwawiła ona krwią swoich najlepszych synów — w wojnie z Niemcami. Stowunek Was do Polaki, demokratycznej, może przekonać Władze państwa i Niemcami. Stowunek Was do Polaki, demokratycznej, może przekonać Władze państwa i Niemcami. Stowunek Was do Polaki, demokratycznej, może przekonać Władze państwa i Niemcami.

Za to, że zostaliście aresztowani ponoszą winy ci, którzy Was ogłupiali, kłamliwą i zbrodniczą agitacją — ponoszą winę różni anacyjali i fałszywscy gracze polityczni, którzy kierowali A. K. i innymi organizacjami nie dla dobra, ale dla zguby Polaki. Byliście ślepym mieczem w ich rękach. Rejestr zbrodni i przestępstw, popełnionych przez tych ludzi, obciąży ich wieczną hańbą przed narodem i historią.

Oni to bowiem organizowali dezercje z Wojska Polkiego, które bohaterstwo walczyło o wyzwolenie z rąk niemieckich okupantów.

Oni to organizowali na tyłach haniebnie, klanowe mordercy żołnierzy i oficerów Wojska Polkiego, gdy Armia Polkie krwawiła w walkach z Niemcami pod Warszawą, nad Wisłą, Odrę, Niszę i Morzém Baltyckim.

Oni to organizowali mordercy bratobójcze — zabijali z za węgla przedstawicieli władzy państwowej, wysyłali do szosatu, bojkotu pracy, do nie oddawania kontyngentów i t. p.

Oni to wysyłali młodzież polską do lasu, gdy Polaka wzywała ją do Wojska Polkiego, organizowali bandy dywersyjne na tyłach polskich, gdy Polaka rzucała wszystkie siły na front walki z Niemcami.


Oni to organizowali mordercy żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, Judsiłi Narod Polaki przeciwko Związkowi Radzieckiemu; w momencie kiedy żołnierze ci krwawili w walce o miszanie armii hitlerowskich i wyzwolenie Niemców z Polaki.

Oni to, tak na emigracji, jak i w kraju robili wszystko co mogli, aby powściągnąć między sobą Związek Radziecki, Anglię i Amerykę, aby rozbić jedność narodów sprzymierzonych, który była naszym warunkiem osiągnięcia zwycięstwa nad Niemcami, a więc i zdobycia Niepodległości Polaki.

Oni to — organizując te wszystkie zbrodnie — pomagali w ten sposób Niemcom, kłóli Polakę nosem w plecy, osłabiali jej siłę.

3000 s. VI. 45 Druk. Min. Bep. Publ. w Łodzi

Tak w wielkiej syntezie prezentuję opowieść o wołyńskiej, polskiej rodzinie w czasach wojennego światowego kataklizmu. Rodzina moja bez reszty zaangażowała się w działalność patriotyczną, w obronę Wołynia i Polski. W czasie działalności kurierskiej przeżyłam trudne, niebezpieczne chwile i zdarzenia, z których kilka opisałam. Dzięki przychylnym zbiegom okoliczności i ludzkiej życzliwej pomocy ze wszystkich tych opresji udało mi się wyjść cało. Za "ofiarną służbę przy utrzymywaniu łączności z Warszawą i Lublinem" zostałam odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

ZAŚWIADCZENIE Nr DK-20383/W WARSZAWA dnia 27.03. 1990 r.	Zaświadcza się, że Obywatel SANDOWA Halina <small>(nazwisko i imię)</small> c. Czesława <small>(imię ojca)</small> za udział w walkach z hitlerowskim okupantem w latach 1939 - 1945 został przez kompetentne władze odznaczony BRĄZOWYM KRZYŻEM ZASŁUGI Z MIECZAMI  SZEF DEPARTAMENTU KADR MON
--	--

Zaświadczenie o nadaniu Brązowego Krzyża Zasługi z Mieczami dla autorki.

W tych wspomnieniach poświęciłam nieco miejsca naszemu ojcu. Na koniec pragnę wspomnieć także i o matce, Lucynie z Hornowskich. Jeżeli o udziale w walce z okupantami miałyby decydować formalnie przynależność do podziemnej organizacji, to mama pozostała poza konspiracją. Była jednak powiernicą nas wszystkich i o każdym z nas wiedziała najwięcej.



Rodzice autorki mama Lucyna z Hornowskich i ojciec Czesław Witkowski wraz z mężem autorki Wiesławem. Rok 1960.

Oto pieśń, jaką często śpiewaliśmy całą naszą rodziną w tamten trudny czas, podążając za pięknym głosem mamy:

*O mamo, czy jesteś ze mną? Nie słyszę twoich słów.
W oczach mi trochę ciemno. Obroniliśmy Lwów!
Ja biłem się tak samo jak starsi. Mamo, chwał!
Tylko mi ciebie, mamo, tylko mi Polski żal.*

*Z prawdziwym karabinem u polskich stałem czat.
O, nie płacz za swym synem, co za ojczyznę padł.
Z krwawą na piersiach raną odchodzę dumny w dal.
Tylko mi ciebie mamo, tylko mi Polski żal..*

Każdy z nas, kresowiaków, nosi w sobie tę lwowską pieśń, która może przecież opiewać każde z kresowych miast: Wilno, Nowogródek, Luck, Kowel i inne. W wojnie, w której podobno zwyciężyliśmy, spotkał wszystkie te kresowe miasta jeden wspólny los. Spotkał ten los także Włodzimierz Wołyński - małą ojczyznę, która jest we mnie.



Rodzice autorki mama Lucyna z Hornowskich i ojciec Czesław Witkowski wraz z mężem autorki Wiesławem. Rok 1960.

Spis treści

<i>Tytuł rozdziału</i>	<i>strona:</i>
Moje środowisko	1
Wrzesień, rok 1939	4
Pod okupacją sowiecką.	9
Pod okupacją niemiecką	30
Ku PRL-owi	53



Kubalski Jan ppor. "Grot" 14, 102, 105, 107, 109, 113, 152, 105, 106, 178, 242, 243, 507

1. doc. Jan Kubalski depozyt listy do bpa Belgicka od reżaniera Sybiru
2. oficer do zleceń specjalnych Obwód AK Włodzimierz Wotynski "Lania" skład osobny Kowalski
 Pisanym źródłem danych dla wywiadu były wiadomości wykruszone przez "Grot" z rąk jego kontrolator z Niemcauni przy pełniaczej funkcji kierownika apteki.
4. Odcinek Włodzimierz Wotynski - miasto - obejmował najbliższe tereny - głównie na zachód aż do Uściuga. Dowództwo odcinka mi było ściśle obsadzone ze względu na siedzibę we Włodzimierzu komendy obwodu, która na miejsce podejmowała podważające decyzje, głównie poprzez "Grot". Na uposażenie działani odcinka był podzielony na 2 pododcinki - (1-szy dowództwo sprawował Jeremi Sokół)
5. Aktywnym punktem działań konsp. na terenie odcinka była apteka przy kurtycji 17 marca prowadzone przez "Grot" Stenarita ona jedno ze źródeł rozpoznania w celu, ale nie tylko. Działalność "Grot" oraz "Sokół" w aptece podjęto produkcję met. syntetycznych. Wykonawczych mieszankę chloranu potasu oraz proszku cukru produkowanego w inny kole = forte odpelecie ze pomocą odparowania umieszczonej ampułek ze szklanym kwasem miedziowym. Produkowano również butelki z benzyna miejsce spełniać rolę granatów zapalających.
6. W styczniu 44r między nastąpiła mobilizacja oddziałów konspiracyjnych AK na Wotyniu, mi zaproszono działaczy we Włodzimierzu Wot. Konspirację pracując w tej chwili na rzecz zgrupowania "Osnowa". Komendantem miasta z ramienia AK wówczas został por. Jan Kubalski "Grot" który z grupą zaufanych ludzi działał do 15.V.44r potem wyjechał na teren środkowej Polski.
7. Na rozkaz inspektora rejonowego list depolole dokł. "Holama" - na miejsce koncentracji przybył kilka dni wcześniej wraz ze sztabem /- /komendant obwodu "Lania", miejsc ze zadaniem zorganizowania oddziałów partyzanckich ze złączonej z młodzieży konspiracyjnej. Komendantem miasta we Włodz. Wot. pozostał por "Grot" z grupą młodzieży ludzi.
- 16.I.44r zaczęły zbieżać - grupy młodzieży z konspiracji... przygotowane do wyjścia w pole z bronią, na odporiedzi ryżni polskiego dowódcy.

2. Młok na Gnojno 1.11.11 Dowódca zgrupowania „Ornosa” - „Pnaly” podpisał decyzję o odwołaniu na Włodzi. Wof. W trybie pilnym wyznaczono współpracownika z konspiracyjnym komendantem miasta por. „Grote” który od czasu miał podjąć akcję zbrojne sytuacji patroli konspiracyjnych. 1-1 19.11.44 wysłał techników „Zemlers” do por. „Grote” odwołując zmierną akcję.

3. Jedynie spokój i opowiadanie „Grote” pozwoliły uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

4. „Ornosa” u wlewań z UPA - miejsce u pobliżu placówki upomnie być ustaleni przez nie niepokojony. W bezpiecznym stosunkowo ulicznym dokonano kilku najeżdż na rodzinny polskie; co raz bardziej rozgłoszone były dubuiki przez które prowadziła jedyna droga łącząca bory polską z Włodzimierzem Wof., gdzie działały jencie agencji konspiracji AK kierowane przez por. „Grote”.

11. 1-1 „Ornosa” miała jencze techniki z Włodzi. Wof. Nanił się zotem proces przerutu z miasta u teren wlewań niegromadniczych środków sanitarnych. Przeważało je winyjni sposobami ze szpitali, z domu Holców, ale głównym punktem wyryskowym była apteka kubałskiega „Grote” przy ul. Farnej. Tutaj nieterpionny bratpłót ukrywał się Zuzanna Sobowiska „Róża”. Wniski zbiegom „Grote” komiteu z pomocy Włodzi, który wyjeżdżał u teren wlewań do naszej kolumny woy konspiracyjnej, aby zerknąć roszce które bezpiecznie deferowały do celu. 1.03.44 toli woy zofadownicy telony trzami, srodkiem opatrunkowym, ale również i bronią i innymi dopisacze Tymczasem Niemcy zausdali tapreus i zofadownicy woy potowonita ratowei Janne Sobowiska „Róża” wiaćła ne woy z „Kukułke” i wyjeżdżała na ulicę - ukraiński policjant zotrymiał iel; pułkierd Niemcom „Róża” została stracona „Kukułke” wpriziony do obozu pracy w dublinie.

12. Betelion zbiorczy 274 DAK. po wydobyciu z kotła, wychodzący z obrzencie różnymi drogami potoczyły się losy żołnierzy ... 1-1 wielu wpradło w ręce niemieckie i zginęło, wielu dotarło się do niemieckich, wielu po okresie biermudniej kubałski pnetter ne wschod i wstaje uieclone do i HWSudowego ale najwięcej pnetto do ziem kubałskieg, dotarł się u rejon Zemoście. Również do rejonu Zemoście byli kierowceni wimane przy pomocy kierowanej skutecznie działającej ne Wł. Wof. gdzie wiele wpradło uowozili komendant miasta z racunem AK por. „Grot” i ks. Stewiras kobyteclii wpronegami przez wielu ofiarnych ludzi i całe rodziny. str. 107.

III/1 Materiały dotyczące rodziny relatora

- odpis relacji W. Witkowskiej, sporządzony przez J. Marciniak, Warszawa 1998, rkps. (oryg.), k. 1, s. 1
- odpis relacji B. Witkowskiej, sporządzony przez J. Marciniak, Warszawa 1998, rkps (oryg.), k. 1, s. 2



++ Wiesława Witkowska

urodzona: 20.V.1913 Czesochowa

rodzice: Czesław i Lucyna

adres: Warszawa,

Data wstąpienia do AK: lipiec 1942r do ozerwca 1944r Ps. „Alberta”

Przebieg organizacyjny: Tarczewska przy komendzie miasta Inspektorat Włodzimierz Wodyński w „Grotka”. Wskazywanie

premierom szwajcarsko do partyzanckiego oddziału leśnego AK w „Wichury” z okolic Bielin. Z oddziałem bojowym szłam na Lubelszczyznę do rozwiązania oddziału i rozbrojenia przez ZSRR.

Odnaczenia: Kryzys Partyzancki i Kryzys AK, Odruckie Gromadzkie. -

1-1 Witkowska 25

Zarząd Okręgu

1-1 Władysław Tofisz Grey

1-1 Józef Janaszek „Dob”

Original relacji znajduje się w Archiwum Środowiskowe 27 WDP AK w Warszawie ul. Chłodnej 31 - spisana dla Archiwum AK WSM Józef Marcinia, 2-1-1982

Warszawa, maj 1998r

++ Witkowska Barbara

wrodzona: 19.VI.1917r Zwoleń pow. Kozienice

rodzice: Czesław i Lucyna

adres: Warszawa,

Data wstąpienia do AK: lipiec 1943r. Pseudonim „Spokojna”

Przedział organizacyjny: Łozniowska „Graża” komendanta Inspektoratu miasta Włodzimierz Godynski.

Przebieg służby: od lipca 1943r prenositau „bibułę konspiracyjną”, rozkazy, meldunki, szyfry na terenie miasta. Potem prenosione służbom prenositau broni, materiały wybuchowe, butelki z benzyną z miejsca pracy - z apteki do konspiracyjnych oddziałów leśnych.

Z oddziałem 24 WDP AK prentau bitole bojowy z Bielina et az do rozbrojenia oddziału przez Armis Czerwony.

Zespół Okręgu: 4 Stanisław Mastullo „legenda” 1-1 Witkowska B.

1-1 Władysław Toczyński „Grey”

1-1 Józef Janabek „Dęb”

Oryginał relacji znajduje się w Archiwum Środowiska 24 WDP AK w W-wie, na ul. Chłodnej 31. Spisana dla Archiwum w Toruniu Gabry 2 Józef Marcinak

Warszawa, maj 1998r

T. 1249/WSK

WITKOWSKA - SAND Halima
ps. "Kawo"

AK
Wotyni

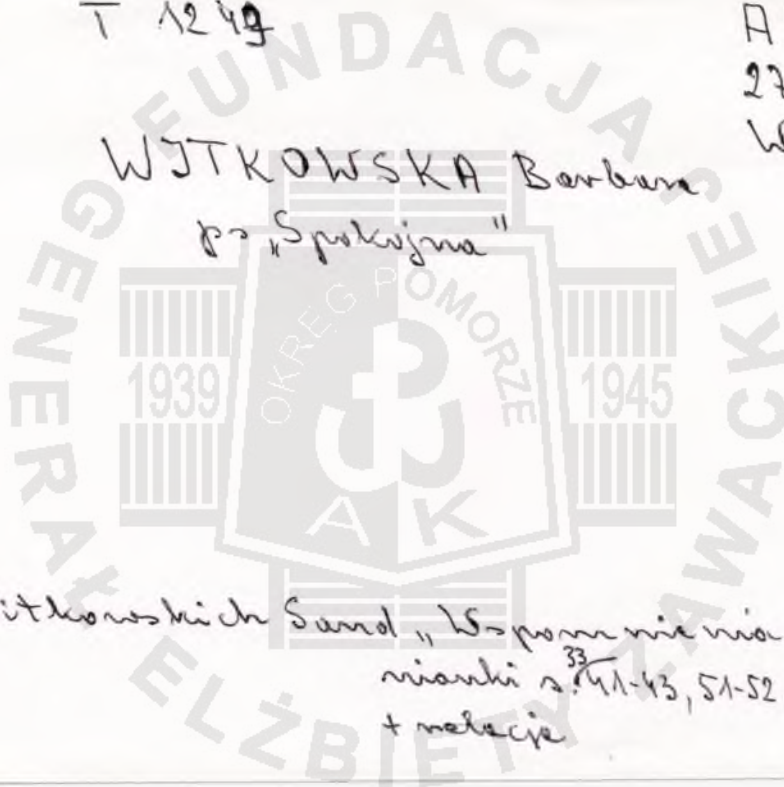
IV Nasuwiskowe karty informacyjne, k. 3

i

T 1249

AK
27 WDP
Wotyni

WJTKOWSKA Barbara
pseudonim "Spokojna"



H. z Witkowskich Sand., „Wspomnienia Wotyni”
nianki z³³ 41-43, 51-52, 55-56
+ melacje

i

T 1249

AK
27 Hof.D.P.

† Witkowska Wierstawa „Alberta”
ur. : 20.V.1913 r. Częstochowa
rodzice: Wierstawa i Lucyna z d. Hornowska

Źródła inform.: Archiwum 24 Wotynianki, Dziękuję Uście
H z Witkowskich Sand „Wspomnienia
Wotynianki” s. 33, 42, 44, 59, 60
c.d.

Warszawa, 1998r

FUNDACJA
ELŻBIETY ZAWACKIEJ
AK

Lipiec 1942 r. do marca 1944 r. „Alfreda”
Tecznińska komendy miasta „Włodzimierz Wotyński”
Inspektoratu „Osowa” i „Grotta” przesiedlona rozkazem
do parafialnego oddziału ppor. „Wiktory” Wincenty deupalt.
Szlakiem tajpogm od Berlina na dubietoryms piersta do
nadrojenia przez Sordietón.

i

T 1249

AK
27 Wotyni.D.P.

Witkowska-Sauł Polina, Karo"
B 22 2 M
ur. 6.1.1916 r. Moskwa
rodzice: Władysław i Lucyna z d. Hornowska
adres: 00 242 W-wa,

Źródło info.: Archiwum 27 Wotyni w Działyńsk. AK W-wa
c.d.

autorka "Wspomnienia Wotyniarki"
> 33-35; 40-42; 44, 48-51, 53, 61-62

Chawinian, 1998r

lipiec 1942 r. Żyz-AR do grudnia 1944 r.

Łazieniska ppow. „grota” Jędrzej Kubalskiego
kucharka Warszawa - Dublin - Włodzimierz

Odznaczenia: Brązowy Krzyż Zasługi z Mieciczem

wydział 1/133 z 31.5.1965 r. płeć „duchowa” Kazimierz Osbiniński

Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi 1969

Krzyż Kawalerski O.P. 1975. Foto adreśki: Instytut dla Budasw.

WITKOWSKA - SAND Halin



Zakład Produkcyjny w Legnicy
TECZKA DO AKT
SWW 1824-331 ZN-96/1

